ADOLF NOWACZYŃSKI

POGROM

RAMOTY I GAWĘDY

(1915 — 1919)



WARSZAWA

DRUK L. BOGUSŁAWSKIEGO ŚWIĘTOKRZYSKA 11

1921

PRZEWODNIK PO KSIĄŻCE.

Tom niniejszy jest zbiorem fejletonów polityczno-satyrycznych, drukowanych w kilku pismach warszawskich *tempore belli* za czasów okupacji pruskiej. Cenzura władz najezdniczych krępowała przez trzy lata piśmiennictwo i prasę całym szeregiem przepisów i paragrafów, które trzeba było obchodzić podstępnie, wyrażając swoje myśli i poglądy w sposób zamaskowany, allegoryczny, w przenośniach i *sub rosa*. Podczas, gdy spora część pisarzy polskich udała się na czasową emigrację, podczas, gdy również spora część wymownie ale i wygodnie zamilkła cofnąwszy się w zacisza domowe, i podczas gdy pewna część pisarzy z obozu zwącego się dumnie i samozwańczo „niepodległościowym“ mogła dość swobodnie rozpisywać się, korzystając przez czas dłuższy z wyjątkowej tolerancji ba nawet z protekcji władz pruskich dla tego sui generis „niepodległego“ pisania, pewna grupa pisarzy zresztą bardzo nieliczna wytrwawszy na

stanowisku starała się wszelkimi siłami podtrzymać opór i ducha stolicy walcząc publicystycznie na dwa fronty i dyskredytując w opinji publicznej wszelkie formy i odcienia ugody i kompromisów z pruskimi najeźdzcami. Ku temu celowi zmierzała specjalna literatura podziemna, cały szereg tajnych wydawnictw perjodycznych oraz co jakiś czas pojawiające się broszury, konspiracyjnie drukowane i kolportowane.

Niniejszy zbiór satyryczny feljetonów, drukowanych w one lata w pismach jawnie wydawanych wykazuje, że można było z pruską okupacją i polską ugodą walczyć i oficjalnie wypracowawszy sobie atoli styl specjalny, pełen metanomji, niedomówień, obrazowań, porównań, symbolizowań, spoksylów, przysłów i t. p. fortelı, których nie mógł domyśleć się pruski cenzor, nawet doskonale polszczyzną władający, ale które w lot chwytała je, odczuwała i dokładnie rozumiała, powiedzmy raz szczerze niniejszość inteligencji polskiej, nie idąca na lep pruskich, austrjackich i rosyjskich aktów i manifestów. Skutkiem niepoczciwych donosów cenzura pruska kilkakrotnie doszła do przekonania, że „wzięto ją na kawał" i wtedy władze okupacyjne zaczęły autora niniejszych szkiców satyrycznych złośliwie szykanować, to skazując na „Hausarest" i internowanie, to pod-

dając mieszkanie ciągłym rewizjom, to wreszcie skazując pismo, w którem były drukowane na wysokie grzywny.

Do szczególnej pasji doprowadziła Prusaków allegorja wojny europejskiej z wróżbą, że będą pobici za lat ściśle cztery (Pogrom Michelskich) oraz wykpienie kandydatury na tron polski Karolka I (Hodowla Królików). Marzenie o zamachu na Beselera (Czyn i Ćma) przeszło na Prusakach bez wrażenia, jak również nie zastanowili się dłużej nad allegorją upadku Rosji (Wigilja Duszeńki). Radykalny i socjalistyczny obóz polski, paktujący z najeźdźcą pruskim starał się autor utrafić i skonterfektować w kilku gawędach (Partja prof. Podobłockiej, Apostoł trzeźwości, Laurenty Leonidas Wawrzynowicz) podczas, gdy prawe skrzydło konserwatystów i ugodowców rosyjskich a następnie umiarkowanych aktywistów odmalował delikatnie ale wyraźnie w kilku innych ramotach (Człowiek Siły, Pech Bezmydlańskiego, Pani Lala, Frakcja Jechalskich). Rolę polityczną, jaką w życiu „pruskiej" Warszawy odegrały takie pisma, jak „Goniec", „Godzina" czy „Głos Stolicy" przypomni sobie czytelnik przy lekturze „Gońca z Arizony".

Niejako w charakterze appendiksu dodano trzy drobiazgi już z pierwszych miesięcy niepodległości.

Całość wiązanki jest już dzisiaj raczej tylko dokumentem czasów, nieco anachronicznym i mieszkiem zamierzchłych czasów zalatującym. Raczej dla przyjaciół i zwolenników politycznych jak dla potomności. Mniejsza z tem. Może się czytelnik przy lekturze takiego „Pogromu" czasami serdecznie roześmieje... To już jak na te ciężkie czasy wystarczy i wydanie niniejszego tomu usprawiedliwi.

a. n.

POGROM MICHELSKICH

Wędliniarze i węglarze, piekarze i mleczarze są dzisiaj panami sytuacji, od których łaski i szczodrobliwości życie nasze bezwzględnie zawisło. O nich się jeno mówi bez przerwy, na nich się skarży i utyskuje, o ich względy się ubiega. Oni dyktują nam ceny, oni nam wydzielają porcje mniejsze lub większe, oni przed nami ukrywają zapasy, oni traktują nas z góry, oni obdzierają nas ze skóry, oni nas chcą zagłodzić i zamrozić żywcem. Dawniej oni do nas, dzisiaj my do nich przychodzimy skromnie i pokornie, prosząc cicho o funcik chleba, o dwa łuty kiełbasiska, o ćwierć ćwierci litra mleka, o łuty najgorszego choćby węgla. I jeśli się nam uda wybłagać cośkolwiek z tych darów Bożych, zapłaciwszy świninę na wagę złota a zakalec żubinowo-kasztanowy na wagę srebra, to kłaniamy się nisko wdzięczni nad wszelki wyraz, ze łzami rozczulenia w oczodołach i wychodzimy ze sklepów zginając się wpół do pasa, błogosławiąc ich, życząc im na głos szczęścia i pomyślności aż po dziesiąte pokolenie (w duchu ciężkiej jakiejś i przewlekłej choroby), polecając

się pamięci i łaskawości, przepraszając najsłodziej za zabranie chwili drogiego czasu.

Przyszła więc kolej złotych czasów na wędliniarzy i węglarzy, piekarzy i mleczarzy, przez tyle lat wzgardzanych i wyzywanych od groszorobów, pijawek, burżujników, sklepiczarzów, mydlarzów, mułłów i t. p. Oni to dzisiaj idą górą a my dołiną, oni to dzisiaj są za wozie a my pod wozem, oni to dzisiaj nie z jednego pieca jedzą pasztety, a my czekamy przed sklepami w sznureczku, przy ogoneczku, na mroziku kłapiąc zębami jak wilki. Od nich to teraz będzie zależało, od ich dobrej woli i mocnej chęci, czy my biedni konsumenci i malkontenci przetrwamy wojenną zimę i doczekamy się pokojowej wiosny „wiosny narodów", wielkiej wiosny „narodów małych".

Że atoli wędliniarze i piekarze, węglarze i mleczarze jest to w sumie gatunek ludzki, z liczymi oczywiście wyjątkami, wyjątkowo twardy i hardy, żadnych skrupułów moralno socjalnych nie uznający, li tylko kupieckim wyzyskiem się kierujący, a przy osobistem zetknięciu wprost horrendalny, o tem mogłem się przekonać naocznie i namacalnie lat temu będzie niewiele, poznawszy przypadkowo jeden tylko ale niezwykle udały egzemplarz gatunku wędliniarskiego, a mianowicie dziś już znikłego z horyzontów Warszawy, ale ongi słynnego „masarza" i wędliniarza Michelskiego. Starsi obywatele i mieszkańcy Warszawy prawdopodobnie przypominają sobie jeszcze tę postać tak ponad wszelki opis obrzydliwą, że już dla samego fizycznego wyglądu przez cały Nowy Świat, jak i Sta-

re Miasto, jak i stary świat notorycznie znienawidzoną. Z dnia ciemnych i małych początków wyszedłszy, podpatrzywszy u któregoś z włoskich charcuilerów tajemnice preparowania salami i salcesonu założył sobie Michelski najpierw sklep jeden, potem filję, potem filję filji, aż wreszcie doszło do tego, że sprytna, obrotna, skrzętna i uniżenie płaszcząca się przed klientelą szelma wszędzie na wszystkich ulicach świata miała sklepy ze świńskimi produktami, coraz gorszymi w smaku, ale przyznać trzeba coraz tańszymi w cenie. W lat kilkanaście wędliniarz Michelski stał się potencją w swej branży, w swoich żylastych łapach skoncentrował wszystko, co tylko się wyrabiało świńskiego w mieście i za miastem, a wszyscy wędliniarze oraz cały świat kupiecki nie tylko Starego miasta, ale i Nowego Świata, patrzył z podziwem i z zazdrością na to bezprzykładne powodzenie, bogactwo i genialność konkurenta—intrygi, o którem się wiedziało, że jakotę rzeźnicy w Chicago często każe wrzucać do kotłów i zdechłą koninę i psa zabłąkanego i co grubsze koty, byle handel szedł, byle kasy ogniotrwałe pęczniały, byle Michalskiego świńskie produkty tryumfowały w całej Warszawie, a omal na całym Nowym Świecie A sam Michelski otyły i nalany, ciężki, zapocony rozrosły, rozpięty, rozparty i wstrętny jeździł jeno własnym „landem" od filji do filji, by sprawdzać rachunki, odbierać gotówkę, pilnować karności i porządku, bić po twarzach panny sklepowe, i kontrolować czy doskonała organizacja jej maszyny wyzysku funkcjonuje sprawnie, jak pan djabeł

przykazał. I z tych objazdów z tego to „landa", w którem rozpierała się i rozjeżdżała ta bezprzykładnie obydna, apoplektycznie czerwona dorubkiewiczowska gęba z grubem cygarzyskiem utkwionem w kłach przednich znaliśmy go wszyscy z widzenia, a ja mniej więcej także.

I z tym oto właśnie en gros wędliniarzem Michelskim musiały mnie zetknąć losy w sposób niezwykle charakterystyczny, a przytem wcale komiczny lat temu z górą bardzo mało. A jak się to stało opowiem.

Pewnego lata skwarnego znalazłem się na czas krótki w którejś miejscowości letniskowej tuż pod Warszawą, niepamiętam już tylko w Miłosnej, w Milanówku, czy w innem jakiemś „urlu". Zamieszkałem w uroczej willi nazwanej „Globus" na skraju lasu (każda willa w tych zadrzewionych spluwaczkach plaszczysiych jest uroczą i leży przeważnie na skraju lasu). Willa Globus oczywiście omal cała była już roznajętą: z frontu mieszkali państwo prezesostwo Moriconi czy Mariconi, z tyłu manażer i trener stajni wyścigowej, któregoś z ordynatów, mr Jonatan Bulldoggerry, na pierwszem piętrze z tyłu z lewej nauczyciel francuskiego w gimnazjum V p. Charmeur, z prawej zaś strony mieszkałem ja. Bajeczny ogródek pełen róż, begonji, kwiecia podzwrotnikowego i przedewszystkiem słońca, słońca należał do wszystkich, to też wszyscy schodziliśmy się do niego, powyszukiwali tam swoje umiłowane kąciki, nie przeszkadzając sobie w niczem, ustępując sobie zgodnie i kurtuazyjnie i czyniąc wzajem stałe deli

katne grzeczności, jak przystało na dobrze wychowanych ludzi, na gentlemanów, na europejczyków. Pogoda była tego roku obstalowana i ładna, harmonja panowała między lokatorami uroczej willi absolutna, a jedyną troską było u nas wszystkich tylko to, czy też ostatnie wolne mieszkanie z frontu na pierwszem piętrze, najdroższe i z wielką werandą wychodzącą właśnie na ten umiłowany przez nas wszystkich słoneczny ogród nie wynajmie ktoś przykry, niemożliwy, ktoś ordynarny i dziedzicznie plugawy, jakiś szpetny dorobkiewicz wprowadzający z miejsca dysonans w tę harmonję letniego, krótkiego wywczasu.

Tymczasem buch! Z końcem drugiego tygodnia, kiedy wszyscy już mieszkańcy uroczej willi „Globus" zapoznali się ze sobą, stonowali towarzysko i omal zaprzyjaźnili rano przy śniadaniu stróż willi chłop olbrzym, ale nałogowe pijaczysko kałmuckie oznajmia mi z flegmą, że „kwaterę z werendom" odnajęła, i że jeszcze dzisiejszym wieczorem sprowadza się „sam pan" Michelski „z Warszawy z familją". Gdyby grom z jasnego nieba tak padła na towarzystwo naszej willi wiadomość, że między nas w sam środek dostaje się właśnie ta brukowa kreatura, to niezniszczalne uosobienie wszelkiej ordynarności, wyzysku, rozpychania łokciami, brutalstwa, przemocy, i szalbierstwa znany całej Warszawie, to z widzenia to ze słyszenia nadwędliniarz i wielki masarz Michelski. Na samą wieść formalnie struchlełiśmy z odrazy, a dreszcz organicznego obrzydzenia i wstrętu przeszedł wszystkich od głowy do pięty na samą myśl

konieczności codziennego stykania się z tym opasłem półbydlęciem, znanem z arogancji i buty parweniuszowskiej ze swej laski z bursztynową gałką, ze swego grubego łańcucha złotego do zegarka, ze swego brylantu wielkości fasoli w szpilce od krawata, ze swych świńskich wyrobów, odezwań się, manier i ze swej wieprzowej etyki kupieckiej.

Rzeczywistość atoli przeszła nawet wszelkie nasze przeczucia i wyobrażenia o tym nadczłowieku. Michelski wprowadził się z sześciorgiem dorastających bachorów, z żoną podobną do pomywaczki z piątorzędnej garkuchni, z pomywaczką podobną do córki, z córką podobną do golonki w pęcherzu, z dwiema okropnemi trąbami gramofonów, z pierzynami w kratę, z cygarem tkwiącym w kłach otworu pyskowego i z dwiema beczkami piekielny fetor rozpadającej kapusty. Wprowadził się, pamiętam jakby dziś w sobotę, a w niedzielę rano zażądał od gospodarza willi „Globus" aby wszyscy inni lokatorzy ustąpili z ogrodu, który formalnie, a legalnie jemu się należy, jako płacącemu największy czynsz i mającemu najwięcej członków rodziny, chcących używać czystego, zapłaconego z góry powietrza oraz przynależnego w kontrakcie zastrzeżonego południowego słońca. Tejże niedzieli wieczorem na werandzie grały już nakręcone równocześnie oba gramofony „śliczne operetkowe" i „mówione kawałki", z werandy zwieszały się swobodnie i malowniczo kołdry, prześcieradła, obrusy, olbrzymie koszule barchanowe madamy i białe z długimi szpagatami kalesony fabrykanta salcesonów. Córeczka w kuchni pospołu z przyjaciółką pomywaczką warzyła przy otwartem oknie

kapustę w kolie z wędzonką i grochem na karm dla młodych „patrycjuszów". Maman siedziała na dole, na progu willi w jedwabnym szlafroku i z brylantami w uszach cerując z lubością wełniane szkarpetony małżonka i konferując konfidencjonalnie z pijanym jak zwykle stróżem, ubranym odświętnie w jakąś czerwoną rubaszną koszulę...

Po ogrodzie, po naszym wspólnym ukochanym słonecznym ogródku chodził tam i z powrotem „sam pan" Michelski bez surduta, w rozwartej kamizelce z łapami w kieszeniach czarnych spodni, puszczając swobodnie tumany śmierdzącego dymu z grubowargowego ryja i plując z zadowoleniem, z dumą i z czystym sumieniem zbogaconego na krwi i krzywdzie ludzkiej wampira masarskiego na rabaty begonji, bukszpanu, niezapominajek. Opasłe zaś wieprzaki ludzkie stanowiące nieodrodną progeniturę płodnej firmy Michelskich bawiły się już pod oknami prezesowej Moriconiowej (70-letniej dystyngowanej damy, która ongiś tańczyła kadryla vis-a vis z cesarzową Elżbietą czy Eugenją) bawiły się rycząc i wyjąc, kopiąc się i opluwając w zbójów i żandarmów, zdradzając w każdym ruchu, w każdym geście, w każdym odezwaniu się i okrzyku „dziecięcem", że są i urodzonymi zbójami i predestynowanymi żandarmami równocześnie.

W ten sposób, lub mniej więcej w podobny upłynęły i następne trzy dni oraz trzy noce rozpoczętej w letnisku podwarszawskim willegiatury rodziny Michelskich.

Okazowy numer podgatunku ludzkiego wędliniarz-masarz-rzeźnik-wołobójca rozlokował się w uroczej willi Globus z całą bezczelnością i aro-

gancją parweniuszowskiej kanalji, która dorobiła się przez wieprzową tandetę olbrzymiej fortuny i może sobie teraz pozwalać na wszystko bezkarnie, nie licząc się z nikim i z niczem, nie bojąc się — nawet Boga. W południe cała ta banda wyłaziła na spacer w główną Aleję Europejską a wtedy wszystko co żyło pośpiesznie usuwało im się z drogi, cofało do swoich ogródków i za sztachety aby nie narażać swoich nerwów na spotkanie z wypuszczonem jakby z obory końskozdrowem, rozbuchanem rozwieźganem i poryknjącem po stajnianemu potomstwem Michelskich i aby uniknąć odbierającego humor i apetyt widoku tej solidnej pary wyzyskiwaczy i trucicieli mas, zapychających saletrą podgarlane i kaszane kichy na utrapienie żołądków cierpiącej ludzkości. W całem letnisku, nikt literalnie nikt nie chciał wejść w kontakt z nimi oprócz oczywiście dostawców t. j. piekarza Nouranbaszy i sklepiczarza, a zarazem lichwiarza i stręczyciela lokalnego p. Feingerucha, który oddawna miał z tym największym wędliniarzem świata konszachty szachrajskie przy dostawach dla wojska, i który to właśnie dla Michelskich mieszkanie w willi Globus wywąchał i wynajął. My zaś wszyscy wędliniarza sąsiedzi o ścianę, na razie przerażeni kompletnie pozamykaliśmy okna i pochowali się w swoich apartamentach, czekając cierpliwie i spokojnie czy też gatunek Michelskich wreszcie sam się nie opamięta, nie uprzytomni sobie i nie zwróci uwagi na to że w willi mieszka jeszcze osób zdaje się tuzin, no i czy ostatecznie nie wyperswaduje sobie posiadania wyłącznego słonecznego ogródka.

Tymczasem trzeci dzień mijał, a na żadną zmianę, na żadną korekturę obyczajów michelskich bynajmniej się nie zanosiło.

Wprost przeciwnie, czwartego dnia rano już o 6-ej zaczęły ryczeć równocześnie oba gramofony, o 7-ej młode zbóje już się bawiły w żandarmów, szpiclów, policjantów i katów, o godzinie 8-ej madame z córką wyniosły na ogród kolejno dwie balje, poczem pomywaczka z siostrą pana Michelskiego rozpoczęły generalne pranie brudów masarskich i wędliniarskich z całego ponoć kwartału uzbieranych.

I to dopiero wyprowadziło nas wszystkich z dotychczasowej rezerwy i równowagi. Cała męzka połowa letników z willi zebrawszy się w jednem mieszkaniu odbyła wspólną kollegjalną dwugodzinną naradę nad kwestją co należy począć, co przedsiębrać, jak działać w takiej sytuacji wobec bezprzykładnego rozpanoszenia się tej rasy i wobec nowych pretensyj jej do posiadania wszystkich piwnic, poddasza, strychu oraz do wyłącznego dysponowania kluczem od miejsca ustępowego i niedochowego. Rezultatem sesji było powierzenie mojej osobie misji pertraktowania z wędliniarzem Michelskim i dania mu alternatywy, że „albo on się wyprowadzi w przeciągu 24 godzin, albo wszyscy my letnicy solidarnie". Alternatywę tę postanowiłem sobie idąc do niego zmienić na inną, bardziej uwzględniającą psychiczną predyspozycję takiego podgatunku homo sapiens, karmiącego świństwami swej fabrykacji i owego wymysłu resztę ludzkości. Stanąwszy tedy przed obliczem rzeźnickim, właśnie w momencie, kiedy potentat Michelski siedząc przy

kawie wraz z żoną, równocześnie obrzynał sobie scyzorykiem nadgniotki u odnóży tylnych, popijając to białą kawę z kożuchem, chrząknąłem mocno i przełożywszy szpicrutę gumową z lewej ręki do prawej oświadczyłem mu krótko ale dyplomatycznie: Dzień dobry panu! Jestem lokatorem uroczej willi „Globus". Nazwisko nic nie ma do rzeczy. Jest sprawa taka. Albo pan zrzeknie się ogrodu, zostanie w swym lokalu i będzie się zachowywał ze swoją zgrają przyzwoicie, po ludzku i po europejsku, nie po świniarsku., rozumie? Albo też dostanie pan szpicrutą po froncie, a dziś przed wieczorem nim rosa spadnie wyrzuci się pana wraz z całem jego potomstwem spólnymi siłami za parkan i na pysk. To drugie. Zarazem to jest ultimatum nasze. To miałem panu do zakomunikowania. Teraz żegnam Michalskiego i ostrzegam. Au revoir! Good by! A rivederci! Banzaj! Czołem.

Wieczorem tego dnia już koło godziny 8-ej rozpoczęła się bitwa. Panie, starców i dzieci umieściliśmy w kącie ogrodu, za krzakami bzu, zdaleka od willi, aby nie poniosły żadnego szwanku. Stróż olbrzym, ale płaczysko — małodziec dostał 10 rubli w łapę i gąsior monopolówki, aby współdziałał w akcie eksmisji. Mężczyzn nas wzięło się do dzieła razem 7 czy 9-ciu. Wędliniarz przewąchawszy pismo nosem, przygotował się solidnie i bronił zaciekle wraz ze swoim bratem siryjecznym rzeźnikiem i z dwoma synalkami drabami, władającymi fachowo finlandzkimi nożami. Trzeba było użyć wszystkich arkanów i dżiudżitsu i boksu amerykańskiego, zanim się rozsierdzoną i pianę

z gęby toczącą bestję wędliniarską powaliło z nóg, zniosło ze schodów i wyrzuciło wreszcie przez sztachety na kupę gnoju. Cztery bite godziny trwała sroga awantura. Stróż płaczysko Iwan wziął 10 rubli w łapę, ale bił świniobójców jak za rubla, okazał się zdecydowanym zawalidrogą i niedołęgą, a cała pomoc jego była, jak to mówią, do chrzanu, aczkolwiek właśnie w jego prymitywną siłę najwięcej ufności cała koalicja pokładała. Wszyscy inni ze zmiennem szczęściem dokazywali, co too mogli. W krytycznym momencie jeden z rzeźnickich synów buchnął niespodzianie i podstępnie z brauninga, ale zabłąkana kula trafiła w wątrobę pomywaczki, siostrę stryjeczną rodziny. Sprzętów złamało się stosunkowo sporo. Stłukły się dwa lustra i trzy karafki, wszystkie na twardej czaszce samego „pana". W krytycznym momencie puściliśmy wodę ze wszystkich kranów wodociągowych i zagasła raptem elektryczność w całej willi tak że bitwa wrzała w kompletnych ciemnościach, przy chłodzie i głodzie, w potokach zalewającej wszystko wody. Hałas, stukot, łomot, przekleństwa, jęki, wyzwiska „masarskie", pamiętam dziś jeszcze jak przez sen. Że dokoła nic nie słyszano w sąsiednich willach, zawdzięczało się to tylko temu, że sąsiednich will wogole nie było, gdyż wszystko to działo się, jak wiadomo na ustroniu, aż pod lasem uroczego letniska.

Koło 12-ej wreszcie zwycięstwo zaczęło się przechylać na naszą stronę. Podgatunek człowieczy fabrykujący kiełbasy, kiszki i inne świńskie produkta dla całego Nowego Świata, Starego Miasta

i starego świata, ustępował na całej linji. Kosze, bety, beczki, piernaty, balje, wyrzucało się wprost z werandy za parkan. Ostatni poszedł gramofon, rozmyślnie nastawiony na jakąś bezdennie trywialną, butną, plugawą, znaną w Europie melodję. Bestja wędliniarska, wreszcie wspólnym mozolnym wysiłkiem była rozgromioną, skopaną, zdeptaną i wyrzuconą w komplecie za parkan. Księżyc oświecał srebrną jasnością całe terytorjum. Panie nasze zmęczone, blade, przerażone aleją bzową wracały do willi „Globus". Kwiaty jak gdyby przebudzone czy powrócone do życia zaczynały znowu pachnąć.

Taką to aferę oryginalną miało się kiedyś z jednym znajomym: wam, wszystkim i wyjątkowo zwyrodniałym coprawda egzemplarzem z tej wszechwładnej dziś oligarchizy ludzkiej, dyktującej nam ceny i przepisy, odmierzającej dawki pokarmów i opałów, wysysającej nam klijentom wynędzniałym szpik z kości, krew z żył, złoto z kas i miedź ostatnią z portmonetek. Niechże tragiczna przygoda gatunku Michelskich w podwarszawskiem letnisku i szybki potem upadek jej przepotężnej firmy świńskiej w Europie i po krótkotrwałym tryumfie ongiś zniknięcie ich z horyzontów naszego miasta będzie przestrogą dla tych wszystkich dzisiejszych węglarzy i piekarzy, mączarzy i mydlarzy, kartoflarzy i wędliniarzy, którzy znęcając się nad nami bezbronnymi konsumentami z bezlitością hyjan i szakali, rozpierają się dziś i rozjeżdżają w „landach" z laskami o złotych gałkach.

Manej Tekeli Fares Michelscy!

PANI LALA A WOJNA

Nasza piękna pani Lala zaczyna zdradzać. „Zdradzać” tym razem odznaki zniecierpliwienia i niezadowolenia. Nasza piękna pani Lala, ta sama co to pierwsza w Warszawie ślizgała się na wrotkach, pierwsza zaprenumerowała „Chimerę”, pierwsza wprowadziła perfumy „Comme Toi”, pierwsza zaczęła tańczyć tango i pierwsza wzięła na siebie kostjum „Siostry Miłosierdzia” obecnie pierwsza też nie tai się z wcale łatwo zrozumianą antypatją do przeciągającej się wojny. Przy jej sposobności dostaje się też mocno po czubie i naszej prasie, która nie „swoimi stosunkami nie wpływa”, „żeby się to wszystko już raz prędzej skończyło”. Pani Lala ma bardzo wysokie pojęcie o potędze i swobodzie prasy, „bo przecież kiedy jest dużo wzmianek o jakiejś wencie czy kiermaszu, to zawsze jest pełno publiczności”. Dzisiaj atoli nie tai się z kompletną pogardą i lekceważeniem tego papierowego mocarstwa. „skoro od jakiś czas piszecie i piszecie o tym pokoju, a o żadnym pokoju ani słychu, a myśmy musieli nawet pięć pokoi skasować, bo w mieszkaniu niema czem w nich poprostu palić”.

Albo naprzykład te gazety, z których wy teraz ciągle przepisujecie. Co to są za jedne? Skąd wyście je pobrali? Nic tylko ciągle co pisze „A Villag", a to znowu co „Az Est". Byłam niedawno na jakiej węgierskiej sztuce i to w Letnim Teatrze. Szło tylko trzy razy, bo Warszawa jakoś gulaszu z papryką nie trawi. To są niemożliwe rzeczy panie! — to wszystko z Budapesztu! Ja pana proszę, przestańcie już raz powoływać się tak ciągle na to co pisze A Villag! To na serjo zaczyna być niemożliwe. Dobrze? No i niech mi pan da słowo honoru, że wojna przed rokiem 1916-tym się skończy... O koniecznie. Róbcie sobie co chcecie, ale wojna skończyć się musi! Nie możemy na wiosnę zostać bez nowych modeli i fasonów!

I oczywiście trzeba pani Lali dać słowo, że wojnie sie przed Nowym Rokiem kark skręci. Bo pani Lala jest już zniecierpliwioną do ostateczności. Pani Lala od czterech miesięcy tupie z irytacji nóżką i zaciska ząbki. Pani Lala kampanję wojenną wyobrażała sobie znacznie uproszczoną i chyba bardzo już łatwą. Stąd więc ciągłe pytania: ach dlaczego jeszcze nie zdobyli Rygi, ach dlaczego jeszcze nie wzięli Kijowa! ach dlaczego jeszcze tak daleko od Moskwy? „Ja ręczę panu, że gdyby zdobyli Paryż i Petergrad to jużby było dawno po wojnie i życie wróciłoby do normalnego trybu. I mybyśmy wszystkie odetchnęły. A tak co? Dawniej co tydzień szli o 50 mil i jedna twierdza padała tygodniowo, czytało się przy śniadaniu. A teraz co? Bułki coraz mniejsze, masło coraz droższe, no i co? Kragujewacz, Kniaże-

wacz, Pogrzebacz, jakieś prowincjonalne serbskie dziury, które się ani umyły do naszych Modlinów i Dęblinów! Okropności panie, okropności! Niema co jeść! niema gdzie iść! Wasze gazety nawet źle się palą w piecach! Nic w nich niema! nic, tylko słoma i sieczka.

I tak narzeka pani Lala na wszystko i wszystkich i fryzuje się i wygaduje ile razy tylko i gdziekolwiek się ją spotka! Pani Lala zapomina że już Wolter powiedział: Toutes les affaires sont longues. Pani Lala zapomina, że są i ludzie jakoż i narody, którym się nie spieszy. Pani Lala, która sama ma takie ładne mieszkanie nie uwzględnia, że co jeden pokój to nie pięć „pokojów". Pani Lala zdaje się nie wiedzieć, że moratorjum jest i dla weksli i dla prawdy. Pani Lala myśli, że to tak łatwo zdobyć Moskwę lub Paryż, jak jej łatwo było „zdobyć lożę" na Battistinego lub „zdobyć stolik na noc Sylwestrową w Bristolu". I pani Lala mocno przecenia potęgę mocarstwa prasy, którą „wzmiankami częstymi" mogłaby wpłynąć, aby już zrobili raz tam pokój!"

Dlatego cierpliwości jeszcze pani Lalu! Toutes les affaires sont longues jak powiedział Wolter.

W poszukiwaniu nerwowem sprawców wojny europejskiej zabierają też głos obok fachowych dyplomatów spychających na siebie nawzajem ten ciężar przekleństw całej ludzkości, także i politycy przygodni. Ponieważ przyjętą zasadą w wskazywaniu sprawców wojny jest szukanie ich zawsze naprzeciwko lub jeszcze dalej, przeto zasadą tą przejął się i stary znawca sztuki prof. Wilhelm Bode i odnalazł ich ni mniej ni więcej tylko we... włoskich futurystach.

Dowodzenie prof. w tej materji wydrukowało artystyczne pismo niemieckie „Wieland" a liczni wielbiciele znakomitego znawcy starożytności muzealnych kolportują ten pogląd jako trafiający w samo sedno sprawy a równocześnie i nie pozbawiony humoru coprawda mimowolnego.

Tak tedy więc nie króle, kanclerze, ambasady, cesarze i prezydenci doprowadzili do tej strasznej hekatomby ludzkiej, ale pan Marinetti, Piatti, Russolo i t. p. swoimi poematami, dytyrambami, obrazami, które były istotnymi obrazami najkardynalniejszego poczucia piękna, przyzwoitości i cywilizacji europejskiej. Jaką drogą tajny radca i gene-

zalny dyrektor wszystkich muzeów doszedł do tego zdumiewającego odkrycia, które raz na zawsze kładzie kres dyspucie prasowej, prowadzonej między londyńskiem Foreign Office a kancelarją kanclerską w Berlinie, a wskazuje energicznie jasno i prosto na całkiem już dziś przycichłych condottieri i lazzaroni sztuki, o tem milczą relacje.

Dość, że futuryści wojnę przyśpieszyli, bo na wojnę dzwonili, wojny się domagali a sami naprzód wojnę wszystkiemu wypowiedzieli i do wojowania i awanturowania się wszystkich zachęcali. Profesor Bode, mający wogóle z całą nową sztuką porachunki i będący z nią jak to mówią na noże, bliżej i głębiej z tego rzucenia odium wywołanej wojny na futurystów się nie tłomaczy. Możnaby mu jednakże w tym kierunku dopomódz. A więc malerenki ich popowieszane w „zachętach" paryzkich i berlińskich rozindyczały publiczność i budziły w niej drzemiące instynkty niszczycielskie.

Rzeźby ich złożone z kostek, z kawałków bruku i z kanciastych pudełek wywoływały w tłumach wybuchowe chęcie krwiożercze.

Manifesty futurystów pełne fosforu, siarki i bawełny strzelniczej doprowadzały rzesze do wściekłości. Wreszcie kiedy wystąpili z koncertami na instrumentach swego pomysłu i kiedy Russolo jako kapelmistrz poprowadził kolejno swoją symfonję „wrzasku i hałasu" w Rzymie, w Paryżu i w londyńskiem Colisseum, wojna była już zdecydowana.

Propaganda futurystów zrobiła swoje, liczba ich i ich zwolenników wzrastała szybko. Tylko

jakaś wielka katastrofa była w stanie uwolnić ludzkość a szczególnie ludzkość miast wielkich przed tą inwazją i terrorem niezbłąkanych warjatów, wrzeszczących i hałasujących kalek i rozwścieklonych apostołów denaturowanej sztuki. Kiedy więc przyszło do alternatywy panowanie futurystów w malarstwie poezji, muzyce albo wojna ludzkość wybrała wojnę. Sześć stolic mocarstwowych europejskich oświadczyło się za wojną. Ergo futuryści są sprawcami wojny.

Profesor Bode, odkrywca słynnego biustu woskowego Leonarda da Vinci, w tym wypadku zrobił odkrycie słuszne i ma rację.

Wojnę wywołał nie Caligula II, tylko maestro Marinetti.

Biada brunetom! Biada brunetom! — oto jedyny wniosek i nieodwołalny wyrok zarazem, jaki wyczytać mi się zdarzyło w książce mało zresztą jeszcze znanej znakomitości p. Otto Hausera z Wiednia, wydanej w Wejmarze p. t. „Rasa i kwestje rasowe" 1915. Przypadkowo znowuż wiem czem dotychczas zajmował się twórca doktryny antibrunetarnej. Był tłomaczem i to nałogowym tłomaczem rozmaitych poetów modnych z narodów dziś czasowo stojących na indeksie centralnej mitteleuropy, tłomaczył poezje francuskie, belgijskie prowansalskie, angielskie, włoskie, amerykańskie, tłomaczył bardzo dobrze i dochód z tego miał znośny. Obecnie, zapewne w braku dostawy nowych zapasów do tłomaczenia, jął się p. Hauser pracy naukowej ścisłej i skonstruował doktrynę antibrunetarną. Według p. Hausera świat należy wyłącznie do blondynów, świat zawdzięcza wszystko blondynom, świat będzie rządzonym wyłącznie przez blondynów i to *bez względu na to, do której rasy i do którego narodu przynależą*, byle blondynów. Udowodniwszy czarno na białem, jak

wszyscy dokoła łżą bezecnie, a on tylko mówi prawdę, rozpoczyna blondolil Hauser wyszukiwanie i wyłapywanie blondynów w historji ludzkości. Okazuje się więc, że król Dawid, jeden z największych monarchów starożytności, a przytem bardzo utalentowany liryk, był stanowczo blondynem. Czy król Salomon był blondynem jest to rzecz wątpliwa, ale również jest rzeczą wątpliwą, czy monarcha ten był istotnie takim mędrcem, skoro wydawał tak słynnie prostackie wyroki sądowe. Grecy wszyscy en bloc wzięci byli blondynami, a jeżeli znalazł się między nimi Heleńczyk o uwłosieniu innej maści, to prędzej czy później okazywało się, że jest to kretyn, oszust, niedołęga i kreatura całkowicie podrzędna. Znakomici włosi byli wszyscy blondynami i tylko dlatego do wczoraj jeszcze mówiło się o nich z szacunkiem, przykładem Dante, Rafael, Lionardo, blondyni par excellence bez zarzutu. Czy Michał Anioł Buonarotti był blondynem jest kwestją nierozstrzygniętą. Jeżeli się okaże, że był brunetem, cała jego światowa sława i t. zw. nieśmiertelność będą skasowane bez apelacji. Napoleon w młodym wieku był stanowczo blondynem, stwierdza p. Hauser, w wieku dojrzalszym barwę zmieniał a w dzień Waterloo okazał się kompletnym brunetem. Wprost nieubłaganym jest p. Otto Hauser z Wiednia w stosunku do Goethego. Mając bowiem niestety kategorycznie dokumentami stwierdzonem, że Goethe był brunetem, udowadnia autor sympatycznej księgi o „Rasie", że wiersze w Fauście są przeważnie niżej krytyki, omal słońskie czy rozbi-

ckie, ergo Goethe wcześniej czy później musi być zdegradowany z Parnasu i postawiony między upośledzone brunety. Daleko względniejszy jest były tłómacz a obecnie psycholog ras ludzkich dla Schillera, ale nie z tej przyczyny, że wielki poeta niemiecki był twórcą nieśmiertelnych dramatów wolnościowych o Joannie d'Arc i Wilhelmie Tellu, obrońcą uciskanych Niderlandów, humanitarnym i ideowym gromicielem najazdów na Francję i na Szwajcarję, ale dlatego, że Szyller (podobnie jak dramaturg niepodległej Italji Alfieri) miał włosy rudawe, i j. odcień blondynowalości przez p. Hausera łaskawie tolerowany.

Wielu jeszcze innych blondynów wywleka p Hauser na szafot swego uznania, szacunku i admiracji, ale szczegółowe badanie nad jego pracą należy zostawić raczej biegłym w swym fachu psychiatrom, interesującym się tego rodzaju spokojnym, niegryzącym, a tylko zgryźliwym pacjentem. W każdym razie w konkluzji dochodzi p. Hauser do tego, że na stopniach hierarchji gatunku ludzkiego na samym szczycie stoi szlachta i to wyłącznie oldenburska i meklemburska, będąca ostatnim wyrazam i etapem rozwoju ludzkości. Każdy blondyn zaś z każdego narodu i z każdej rasy ma do pewnego stopnia prawo uważania się za istotę zbliżoną do tej szlachty choćby kolorem uwłosienia i tem samem uprawnionym do objęcia władzy w swem środowisku, w swym kole, w swej rodzinie, przy całkowitem podporządkowaniu swej woli wszelkiego rodzaju brunetów, szatynów i t. p. podrzędnych kreatur.

Jeżeli się zestawi teorję „psychologa rasy„ Hausera z teorjami psychologa rasy J. B. Jensena, który również w naukowem dziele odmawiał własnie pruskiej szlachcie prawa należenia wogóle do gatunku rasy północnej, to trudno się będzie oprzeć zaiste dręczącemu pytaniu czy też my tutaj jesteśmy już dość blondynami? czy naród nasz przestał być blondynowatym? czy naród nasz ma prawo uważać się za blond? Czy też może to wszystko jest tylko błąd mózgu a tacy „psychologowie ras" są dosłownie skończonymi brunetami.

— —

LEONIDAS LAURENCJUSZ WAWRZYNOWICZ

Przeczytawszy jednym haustem ostatnie trzy feljetony krytyczne Leonidasa Wawrzynowicza, zerwałem się na równe nogi, palnąłem pięścią w biurko i postanowiłem bezwarunkowo zobaczyć raz wreszcie na oczy i poznać osobiście tego dzielnego pisarza, uścisnąć mu kordjalnie prawicę i podziękowawszy mu za to wszystko, co odważnie czyni i pisze dla Ojczyzny i za te sensacje *artystyczne, jakich nam* co tydzień dostarcza, ofiarować skromne, jak się to dziś mówi „naręcze" kwiatów z długą amarantową wstęgą i odpowiednim napisem. Jak się rzekło tak się i zrobiło. Tegoż dnia po południu o godzinie piątej ubrany czarno i czysto dzwoniłem już nieśmiało do drzwi parterowej willi, przy jednej z odległych ulic, otoczonej dokoła ślicznym, pełnym rzadkiego kwiecia i pospolitych drzew owocowych ogródkiem. Po niezbyt krótkiem stosunkowo czekaniu otworzyła mi wreszcie drzwi szklanne ale cokolwiek mocno popsirzone kreatura niewieścia z ogromną warząchwią w garści, która zapytawszy chrypliwie „do kogo?", a otrzymawszy grzeczne: „do pana Wawrzynowicza" wpuściła *mnie do przedpokoju, poczem zmierzywszy*

kaprawymi ślipiami od stóp do głów, wskazała warząchwią pokój na lewo i rzekła z akcentem pogardy, nieufności, lekceważenia i wstrętu: „Niech se ipan tam posiądzie w gabinecie niebieskim. Panprezes ma teraz sessyję teatralną w salonie. Jak skończy sessyję, to go przyjmie przed obiadem. Tylko krótko. Nie momy czasu...

Przyznam się szczerze, że podobne odezwanie się cokólwiek zbiło mnie z tropu i podziałało paraliżująco na wrodzoną odwagę cywilną. Poczwara z czerwonym pyskiem już dawno wyszła z przedpokoju i przeszła do tuż obok graniczącej kuchni, kiedy ja jeszcze zdumiony i onieśmielony stałem na progu gabinetu „niebieskiego" rozważając każde jej słowo. Dlaczego „niebieski?" Skąd „prezes?" Z jaką „sessyję?" dlaczego w „salonie?" Więc obiad o 6-tej? Co to wszystko znaczy? Wreszcie machnąwszy ręką wszedłem do gabinetu, rozglądnąłem się i znalazłszy najskromniejsze krzesełko w kącie siadłem na samym rożku tegoż mając: na lewo drzwi szklane do ogroda, na prawo drzwi, przez które widać było gorylę, gotującą obiad na 6-tą godzinę, naprzeciwko drzwi zamknięte do „salonu" i to właśnie tego „salonu", w którym odbywać się musiała „sessyja" teatralna, jak świadczył o tem gwar kilku głosów męzkich i damskich, chrząkania, od czasu do czasu aplauzy, i również głośne obcieranie jakiegoś obrzydliwie zakatarzonego nosa. Jeszcze oszołomiony nieco głównie bydlęcą „postawą" kucharki, która w tem sanktuarjum duchowem ośmieliła się, jak dostrzegłem, odgrywać dość mocarną rolę, zwolna dopiero

przychodziłem do siebie i jąłem wraz nastawiać pod prostym kątem wydoskonalony aparat mojej obserwacji.

Przyznam się z góry, że cokolwiek inaczej imaginowałem sobie tę pierwszą impressję z wejścia w „home", w siedzibę ziemską takiej ognistej, rewolucyjnej, światoburczej duszy, jaką był bezsprzecznie Laurencjusz Wawrzynowicz, ale mniejsza z tem „Gabinet" był ładny Na ścianie naprzeciw wisiały dwie dobre reprodukcje Gaugina i van Gogha w podłych ramach, oraz dwa swojskich pędzli mizerne szkice, a mczej szkicze w dobrych ramach, nadennią trywialna kopia Atalanty de Migbiarotti, otyłej nałożnicy Michała Anioła czy Leonarda da Vinci, czy którejś z tych znakomitości przereklamowanych. Z boku zasię na ścianie tuż nad falsyfikowanym starym kantorkiem „bogato ozdobionym" bronzowymi złoconymi szkaradzctwami wisiał obraz tej treści: w nędznej pracowni malarskiej na poddaszu leży na podłodze trupisko wychudłego półnagiego rzeźbiarza, z boku stoi na trójnogu model gliniany poobwijany szczelnie kołdrą, przez okna widać śnieg i czuć mróz, rzeźbiarzyna widocznie zmarła z tej przyczyny, że jedyną ciepłą kołdrą okrył rzeźbę, aby wilgoć nie zamarzła i rzeźby przez noc djabli nie wzięli. Temat wzruszający, wykonanie tożż. Obrazami wiszącymi w „gabinecie niebieskim" Leonidasa Wawrzynowicza zająłem się specjalnie w myśl nieznanego ale mądrego przysłowia: powiedz mi co u twego przyjaciela wisi, a powiem ci z kim się zadajesz.

Obserwacja dokładna ubikacji, w której ropucha z warzęchwią kazała czekać nie przeszkadzała

mr atoli wytężonym zmysłem słuchu łowić groteskowego gwaru dochodzącego z „salonu prezesa". Zwolna tedy zacząłem nawet rozpoznawać znajome głosy. Oto tersz mówi Charl (Karol) Latański wybitny liryk recydywista z Paryża, który żył w przyjaźni z samym Apollinarrem (Kostrowickim), twórcą słynnych „Orgies Cardinalices". Radzi odebrać par force teatry z brudnych łap opasłej burżuazji polskiej i oddać je czystej sztuce „ezoterycznej i genezyjskiej" jak się wyraża, radzi wystawić kolejno trzy rzeczy Saint-Pol Roux le Magnifique, poczem „Polyfema" A. Samana, „Saula" A. Gide'a i „Heraklesa" albo „Hippolita" Jules Bois. Oto przerywa mu znakomita nasza tragiczka, nalogowa Klytemnestra i zapytuje swoim basowym głosem, (którego jej tak zazdroszczą wszyscy organiści w Warszawie) czy który z tych liryków paryskich nie napisał też jakiejś tęgiej roli kobiecej, w którejby można pochodzić z oszczepem w lamparciej skórze ze 4 godziny, ubić z łuka na scenie bezkarnie z 6 kolegów i wyryczeć się do woli rymowanymi andronami. I oto teraz wstaje znakomita poetka Regina Wallenroth (pseud. Dąbrówka) i zwracając się do tragiczki obwieszcza jej radośnie, że właśnie co dopiero skończyła tłómaczyć „Semiramidę" Sar Peladana, „Ifigenję" Moreasa, „Lilith" R. de Gourmonta i „Savitri" legendę Fernanda Herolda, sama zaś zabrała się własnoręcznie do obrabiania postaci mało stosunkowo w literaturze wymaglowanej i t. p. do biblijnej „Hagary na puszczy".

I oto niespodziewana wiadomość o tem, że genialna w każdym palcu „Dąbrówka" wisca do

twórczości oryginalnej, wywołuje w zebranych w salonie objawy niekłamanej radości, aplauzy, siąkania nosa zakatarzonego i specjalnie wdzięcznością wybuchową nacechowany poryk basowy naszej Balladyny i Klytemnestry. I teraz zabiera głos znowu sędziwy prof. Mateusz Szewski, kooptowany zaszczytnie przez to grono ze względu na paraliż cerebralny, jakiego się nabawił pisząc przez trzy lata studjum pomnikowe p. t. „Przyczynek o przecinkach w Samuelu Zborowskim". Profesor Szewski zwraca skromnie uwagę zebranych na to, że jednak należałoby coś swojskiego, coś rodzimego, coś krajowego, coś domorosłego, skoro szczęśliwym losu zderzeniem teatry w stolicy dostają się w nasze ręce, a scena staje się naprawdę narodową a może być i „zarodową", bo z niej może wyjść „zaródź idei lucyferycznych i genezyjskich", „z niej może się stać gontyna oraz chram nowego Króla-Ducha, czy też Królów Duchów". W odpowiedzi na niepozbawioną pewnej racji propozycję prof. Mateusza Szewskiego, słychać jakiś głos nieznajomy mi, który oświadcza bardzo uroczyście, że w tej sprawie ma do odczytania list samego Szamana (redaktora byłego antiperjodycznego półrocznika „Meduza"), samego Szamana, który aczkolwiek znów nie mógł przyjść, gdyż pogrążony jest po pas w studjowaniu dwóch odnalezionych świeżo alchemicznych traktatów Michała Sędziwoja, ale duchem obecny, choć nieprzytomny poleca wystawić w przyszłym „Teatrze Dymnizejskim" (jak się wyraża) utwory o wartości tylko „rewelacyjnej" i w tym celu radzi w r. 1915—16 spróbować „Biesiadę" A. Towiań-

skiego, rozłożoną na głosy męzkie, w r. 1916—17 „Prodrom" Hoene-Wrońskiego, muzykalnie rozdzielony na głosy kobiece, wreszcie misterjum średniowieczne łacińskie „*Purgatorium*" *z 15 wieku*, odnalezione świeżo przez niego samego przy poszukiwaniach nad Sędziwojem. Odczytanie bardzo zresztą długiego listu „samego" Szamana wywołuje oczywiście owację wprost frenetyczną.

Słuchałem tego wszystkiego nie mogę się zaprzeć z ogromnem zdziwieniem, ale i z nieutajoną satysfakcją, a nawet powiem dumą. Przydać trzeba, że do gwaru intelektualistycznego dochodzącego z salonu od czasu do czasu dołączały się dobiegające z oddali, z za ogrodu, z za przedmieść, z za miasta, ostateczne huki armat wielokalibrowych, a górny i wytworny ton seansu wyrafinowanie artystycznego mącił czasem grochowy gruchot haubic Skody, przekształcających bądź co bądź mapę świata. Stoicyzm archimedesoski zaimponował mi co się wieże. Wzruszeniu jakie mnie ogarnęło raz po raz na myśl, że jestem mimowolnym słuchaczem tak nowocześnie heroicznej sceny rodzajowej, przeszkadzał tylko i przeciwdziałał nieco fatalny niestety smród, jaki szedł z kuchni od gotowanych kalafiorów oraz smażonego rozbratla z cebulą, a który to smród śmiało wtargnąwszy do niebieskiego gabinetu „pełgał" sobie zuchwale po meblach i obrazach, mocną goryczą przyprawiając słodycz używania takiego widowiska, raczej słuchawiska.

Inna rzecz znowu, że wszystko, co tu w tem mieszkaniu stało, wszystko, co się działo i wszyst-

ko, czego się słuchało w samie wziąwszy jakoś kolidowało z tym wyobrażeniem górnem a pochmurnem, jakie sobie wytworzyłem z żarliwej lektury przepojonych buntem, rewoltą i kwiożerczością felietonów Leonidasa Wawrzynowicza. Ogródek uroczy, jaki się rozciągał za drzwiami dziwnie był podobny w swem pomieszaniu kapusty z rezedą a stroiczyków z marchwią, do znanego mi z widzenia ogródka lichwiarza Abrahama Norwiuda ogródka, łączącego sprytną rasową praktyczność z mocno bamowanemi tęsknicami estetycznemi. Rozbratel znowuż i to z cebulą i to tak niemożliwe śmierdzącą cebulą jakoś mi nie harmonizował z tem piorunującem wrażeniem, jakie na mnie zrobiła recenzja Leonidasa Wawrzynowicza z czterech tomików świeżej liryki i J „Gawęd iranszejowych", „Krzyku gladjatora", „Sonetów ułańskich" i „Nam Bóg powierzył honor Polaków", recenzja niby tylko literacka, będąca jednak w całem tego słowa znaczeniu czynem, słowo-czynem, obywatelskim słowoczynem akcją i apelem zagrzaniem młodzieńców co się jeszcze wahają do walki a powstydzeniem tych, co zostają w domu, „gdy dokoła krew się leje obficie, a trąbka wzywa na szańce". Acz kolwiek bowiem dotychczas ciągle miałem pewne skrupuły co do konieczności dobrowolnej ofiary krwi, wychodząc z tej racji matematycznej, że 350.000 Polaków w armji austrjackiej + 265,000 Polaków w armji niemieckiej wystarczy już do bratobójczych zapasów z 750,000 Polakami w armji rosyjskiej, to jednakże pod wpływem lektury Leonidasa Wawrzynowicza cokol-

wiek zachwiałem się na swej platformie. I teraz, kiedy siedziałem pokornie w gabinecie czekając z drżeniem serca na jego wejście, aby mu wyrazić co dusza wezbrana czuje, przypomniały mi się kolejno piękne zwroty stylistyczne jak „zew dwóch cesarzów", „błogosławione szaleństwo", „żelazny mus poświęceń", „wypełnienie snów o mieczu", „syki przyziemnego oportunizmu", „gnicie w pierzynach dobrobytu". Z salonu dolatywały jeszcze dalsze głosy biorących udział w sesji kapłanów „sztuki dla sztuki". Przekonywałem się coraz dobitniej, że „inter arma" choć „silent Musae" ale „non silent microcephali". Właśnie bowiem z uporem klapouchów swarzono się o nazwę oficjalną przyszłego teatru. Ktoś proponował „Teatr Snów Srebrnych", ktoś drugi „Nad-Teatr", ktoś trzeci „Teatr Imaginacji", ktoś czwarty „Wdownia Ekstaz", prof. Mateusz Szewski „Gontynę Igry", Charl Latański „Teatr Chimer", Regina Wallenroth „Norwidion". Poczem głos zabrał widocznie konkludujący debaty jakiś chyba eunuch, gdyż timbre miał nieuleczalnego kastraty, i ten to eunuch apodektycznym tonem belfra z Pabianic czy z Garwolina zaczynał od słów: Dzisiejsze zebranie a raczej dzisiejszy sympozjon ma walory zgoła decydujące i definitywne, gdyż kładzie w Polsce stanowczo kres rozwielmożnionemu panowaniu dramatu fotograficznego, sztuki naturalistycznej, psychologicznej, burżuazyjnej i merkantylistycznej. Wyrywając świątynię kunsztów z pod terroru najmitów mieszczaństwa oddajemy go wreszcie tym, dla których Sztuka Czysta jest sama sobie celem bez

żadnych ubocznych względów i tendencji moralnych, patrjotycznych, socjalnych, *historycznych* — dla których twórczość jest męczeństwem, bolesnem, tytanicznem zmaganiem się z formą, wyłącznie z formą, dla których *sztuka* nie jest straganem ale Al-koranem! otwieramy na oścież dla twórczych halucynacji, wizji, deliriji dla cudów i snów tych, dla *których Piękno* jest Czemś Wiekuistem, Czemś Uroczystem, Czemś Niepojętem, Nieogranic*zonem*, Nieuchwytnem, Nieistniejącem... itd. itd...

Nie miałem już zdrowia słuchać dalej tej prelekcji, gdyż wszystko, co mówił *głos* kastraty, było już mniej więcej drukowane w każdym języku nawet po węgiersku i albańsku i było takiem mniej więcej omłotem *pustej słomy* literackiej, jak i to wszystko, co poprzedziło tam mówiono w salonie prezesa, było ostatecznie nieco niezgrabnem przeżuwaniem stęchłych obieżyn i otręb z dawno już wyrzuconych na śmietnisko broszur Hagemana, Gregorego, Appii, Meyerholda, Craigha, Jacoba *Fuchsa* Baba, Lohmeyera etc. Wstałem tedy szybko i dla zaczerpnięcia *czystego powietrza* po tym zaduchu kalafiorowym, rozbiałtowym i artystycznym wyszedłem nieco do ogrodu, który nic nie miał z „Ogrodu Bereniki", nic z „Jardin des Supplices" ale coś niecoś z „Ogródka Epikura".

Ogródek był wyjątkowy

Na pierwszy *bowiem* rzut oka znać było zaraz, że człowiek, który ten ogródek uprawia, „kultywuje" go raczej dla celów utylitarystycznych a *mniej estetycznych*, ergo, że nie zbyt też kwalifikuje się do „wyrywania chwastów niewoli" *w swym*

narodzie. I nadto jeszcze poznać można było już po tym ogródku, że właściciel jego aczkolwiek, może być i melodycznym obrońcą czystej sztuki, w każdym jednak razie jest skrupulatniejszym orędownikiem czystej i dobrej kuchni.

I oto kiedy wchodziłem teraz przez próg na werandę, oczom moim ukazał się dziwny i dość niespodziewany widok. Weranda Wawrzynowicza, zamieniona była w istny spichlerz, w istną spiżarnię, w istny magazyn spożywczy, zapasowy, wojennogłodowy. Leżały równo poukładane na ławach wory i torby, na których kaligraficznie wypisane biło w oczy z bielących się kartek: kasza jaglana, kasza gryczana, perłówka, mąka pytlowa, mąka pszenna... Obok nich w ordynku bojowym stały blaszanki konserwy z pomarańcz, sardynki w pomidorowym sosie, fasolka zielona... Obok wisiały pyszniące się w zachodzącym słońcu połcie słoniny, kiełbasy litewskie, salami, szynki... wędzonki i olbrzymie... kajdany ale... suszonych grzybów.

Jeszcze nie miałem czasu ochłonąć ze zdziwienia, ze zdziwienia, które formalnie chwyciło mnie za gardło, kiedy nagle szarpnięte drzwi od *salonu raptownie otworzyły się i we drzwiach stanęła* jakaś kreatura. Otyła, przysadkowata, krępa miała ta postać dość ciekawą głowę, któregoś z ostatnich cesarzów rzymskich Galby czy też Vitelliona, bez zarostu i wygolona, okrągła, rumiana twarz czyniła znowuż jegomościa czemeś podobnym do jakiegoś prowincjonalnego prałata. Ubrane to to było w czamarę zawadjackiego kroju, podczas gdy nóżki słoniowate i opasłe w białych skarpe-

kach spoczywały w wygodnych, obszernych pantoflach hotelowych, zrobionych jakby z jakiegoś starego ornatu. Nie przypuszczając ani na chwilę, że może istnieć jakikolwiek związek nie już przyjaźni ale nawet przelotnej znajomości między moim tyceiskim, romantycznym, skroś bohaterskim, skroś rewolucyjnym Leonidasem a tym wykarmionym *opasem nie skłoniłem nawet głową.* Wiedziałem bowiem, miałem intuicyjną fundamentalną pewność, że Wawrzynowicz musi być wysoki, chudy, cokolwiek zgarbiony, musi mieć oczy czarne, płomienne, *mściwe, drapieżne, usta kurczowe.* Tymczasem to stworzenie utuczone jak na wystawę wzorowych chlewni krajowych miało odnóża frontowe pulchne, okrągłe, krótkie z dużym sygnetem na jednym *klykciu bez żadnych śladów kajdan.*

Spojrzeliśmy na siebie nawzajem z lodowatą rezerwą. Z salonu, gdzie jeszcze toczyła się sesja tych akademicko wykształconych transcedentalnych klownów bogatej plutokracji (którym się widocznie zdawało, że są męczennikami, cierpiętnikami i misjonarzami Piękna) dolatywały pojedyncze konwencjonalne frazesy zdemolowanego modernizmu „u nas reżyserja będzie alchemją", „grać się będzie cienkim konturem", „aktorzy muszą się stać marjonetkami z „Comedia del Arte", „dekoracje winny mieć coś syntetycznego", „zjadaczów chleba trzeba przerobić w aniołów" il p it p.

Na progu kuchni stanęła pyzata goryla z warząchwią i głosem wyzywającym pytała opasa dodać trufelków do tych pomidorów sakramenckich, czy nie dodać?

Z za ogrodu, z za miasta słychać było ostatnie gruchoty armat pod Warszawą...

„Pan do mnie? — dał się słyszeć głos! I to właśnie ten głos eunuszy.

— Nie, odpowiadałem ostro.

— Jakto nie? A do kogo?... Trufelki? dać, dać Magdaleno, naturalnie — Więc do kogo?

— Do pana Leonidasa Wawrzynowicza.

— Ja jestem Leonidasem. Więc czego pan sobie życzysz?

— Pan jesteś Leonidasem Laurencjuszem? Pan?

— Tak. Ja nim jestem. Wawrzynowicz. Do usług. Czem mogę służyć?

— Aha — Yes. Bien — Tak. Otóż jeżeli pan jesteś Leonidasem Wawrzynowiczem, to ja — to ja przyszedłem — przyszedłem panu powiedzieć... że tego — że pan jesteś — tego skończonym — skończonym — stylistą — i nieposzlakowanym — nieposzlakowanym, tego — no — rewolucjonistą ducha! Tak! Ale — ale — panu Bóg nie powierzył honoru Polaków. Wierz mi pan — Stanowczo. No i tego! — No i niech pana tego — najbliższy szlag tego — trafi — Moje uszanowanie. Good by! Salem Alejkum.

•

Rozwinęła się obecnie w centralnej Europie *bardzo specyficzna* agitacja za wszechstronnem i absolutnem odczyszczeniem języka niemieckiego ze słów obcych Agitacja ta ma na celu wprowadzenie w miejsca zapożyczonych *i przyswojonych* terminów z języków narodów prowadzących wojnę z Niemcami odpowiedniki czysto rodzime, wzięte z własnej miazgi etymologicznej, choćby nawet świeżo i sztucznie skonstruowane.

Na czele tego ruchu czyścicielskiego *stanęło* poważne stowarzyszenie „Allgemeiner Deutscher Sprachverein", które wydaje kolejno cały szereg broszur *podręcznych*, dla wszystkich dziedzin życia. Z namiętnym zapałem rzucili się do tej *pracy* głównie filologowie z małych miast, profesorowie gimnazjalni, sławy literackie IV klasy i t. p. materjał niezdolny do *służby* wojskowej i w ten sposób pragnący dopomagać w zwycięstwie nad nieprzyjacielem. Ruch ten do pewnego stopnia jest nawet zrozumiały jeżeli się przypomni do jakiego stopnia doszła inwazja *obcych* słów, obcych etykiet, tytułów, terminów, przysłów, powiedzeń, okre-

śleń, epitetów w ostatnich czasach w Niemczech. Szczególnie zaś Berlin w używaniu i nadużywaniu angielszczyzny i amerykańszczyzny doszedł w ostatnich pięciu latach do granic takiej przesady, że człowiek, który nie używał bez przerwy słów tip-top up to date! shoking! yes, all-right! i t. p., który nie ubierał się w firmach „Old Gentleman" lub „King-Taylor", nie chodził w cutlawayu, nie pił cocktailsów, nie jadał lunchu, nie bywał na afternon tea w Piccadilly-Cafe, nie grywał w hokeya, nie palił pipy i nie spluwał correct na dywany w hallu Palast-Boardinghousu nie był wprost uważany za gentlemana. Oczywiście reakcja na tę modę panującą wprost despotycznie przyjść musiała wcześniej czy później i obecnie równocześnie z zamalowywaniem tysięcy i kroci szyldów, napisów, etykiet rozpoczyna się mozolna Augiaszowa praca wymiatywania i wylewania forsownego wszystkich naleciałości i intruzów językowych.

Są istotnie dziedziny, w których ten proces „Nationalisierung des Fachjargons" przychodzi z niezwykłą trudnością a uzyskane wyniki prawdopodobnie nie opłacą nawet trudów i mozołów w poszukiwaniach. Są następnie dziedziny tak do pewnego stopnia absolutnie internacjonalne jak np. sport, w których to językowe odseparowanie się od wszystkich narodów świata wytworzy z czasem po wojnie sytuację wprost nieznośną dla sportsmanów centralno-europejskich, skazanych w ten sposób na ekskluzywnie własne towarzystwo. Tymczasem właśnie w dziedzinie sportu wyszło hasło „definitywnego bojkotu" wszystkich wyrażeń obcych.

W niektórych szkołach tak uczeń jak i nauczyciel za wypowiedzenie obcego *słowa* płaci 5 fenigów na Czerwony Krzyż. Taki sam podatek nałożono na siebie w konserwatorjach muzycznych, takie samo hasło wydano w kancelarjach, bankach, tramwajach, aptekach, sklepach, kontrolę w tym kierunku przeprowadza się w teatrach, w prasie, w języku potocznym i w odezwach i mowach oficjalnych. Jak można było przypuścić, nie obyło się bez bardzo ekscentrycznych pomysłów w akcji pacyfikacyjnej, z którychby serdecznie uśmiał się i sam Goethe, tak trafnie niegdyś wyśmiewający (w liście do Riemera) tego rodzaju bajki nacjonalistyczne, przeradzające się czasem w psychozy tłumów, a bardzo *według* niego szkodliwe, skoro „obecność obcych słów w języku poszczególnego narodu świadczy najmocniej o kulturalnych stosunkach *tego* narodu z innymi“.

Rekord atoli w tej twórczości czyścicielskiej i palmę pierwszeństwa osiągnął swym Słownikiem niejaki dr. Diesel. Filolog ten niechęć do wszystkich narodów żyjących rozciągnął *już i na* języki martwe — łaciński i grecki. W długim szeregu jego propozycji zasługują na upamiętnienie specjalne następujące. W miejsce *słowa* genialny proponuje dwa terminy: „neuschöpferisch“ lub „hochbefähigter“, w miejsce ironia „versteckter Spott“, w miejsce *filozofja*: *Weltweisheit* lub Vernunftsforschung, podręcznik historji filozofji tłomaczy zatem *Handbuch* der Geschichte der Weltweisheitsforschung.

Nie traćmy nadziei, że ruch ten zapoczątkowany w mózgach hämorroidalnych filologów i do

tych objawów febrycznych dochodzący, jest jak wiele wiele innych analogicznych tylko przejściowym. Nie traćmy nadziei, że po złotych czasach dr. Diesla wrócą jeszcze czasy i na Goethego, który nie był ani „Vernunftsforscher“ ani „neuschopferisch“, ale był geniuszem w znaczeniu internacjonalnym

---

DESPERANTO.

Lat temu sześć czy siedem był niżej podpisany zaproszony na sympatyczne zebranie imieninowe jednego z bardzo wybitnych i czynnych *esperantystów. Osób było kwadro* dwanaście, wszystko wyznawcy i wyznawczynie nowego języka, młodzi i starsi, pełni zapału i ognia w oczach godowo ubrani, nieco nawet uroczyście

Przy kolacji posadzono mnie, zdaje mi się rozmyślnie, przy dwóch najmocniejszych i najszczęśliwszych propagandystach i apostołach nowo lingva internacionale. Jeden z długą brodą, lwią grzywą i niezwykle łagodną poczciwą twarzą siedział po mej lewicy, drugi blady, wątły, zgarbiony po *prawicy.* Pamiętam, że *już przy* schcopakas faszerowanas i tuż po kilku kieliszeczkach mocnego koniakos wzięli się do mnie obaj sąsiedzi z niezłomnem postanowieniem zyskania we mnie członka tej nowej gminy, ucznia i szerzyciela. Sąsiad łagodny tłómaczył mi łagodnie, ile to dobrego dla ludzkości wypłynie z tego wynalazku, jak się łatwo *pokrzyżuje plany Pana Bogu, który przy budowe*niu wieży Bibel-Bebel-Babel ludziom tak powymieszał języki, jakie z tego korzyści mogą być spe-

cjalnie dla narodu, z którego ten język wyszedł itp. Drugi sąsiad zgryźliwy z prawej, przekonawszy się poprzód chytrze, że tak językiem Byrona, jak językiem Moliera, jak i językiem Danta nie władam tak świetnie jakby się to na pozór zdawało, apelował wprost do mojego osobistego interesu, tłómacząc mi kostycznie, jak to cały świat mogę objechać opanowawszy tylko esperanto, jak to łatwo mogę mieć adresy esperantystów w Quebeku, w Kanadzie, w Osace, w Singapore, w Melbourne, w Serravallo ba nawet wśród Laponczyków lub na Ziemi Ognistej.

Broniłem się jak mogłem. Szczupak faszerowany był tak świetnie, że na zfaszerowane argumenty z lewej i z prawej strony odpowiadałem możliwie monosylabicznie. Dopiero przy indyku, który stosunkowo przyszedł do mnie późno i już nie miał tych partji, które specjalnie lubię, a nadto całkowicie pozbawiony był sałaty, bez której pożeranie indyka sprawia mi względną tylko satysfakcję, rozgadałem się więcej.

Obojętność moją dotychczasową dla nuovo volapuko tłomaczyłem tem głównie, że należę już do towarzystwa, które w najbliższym czasie ma postawić w kraju 24 krematorja, nadto do towarzystwa, którego członkowie mają za zadanie wygrzebywać z ziemi stare gliniane urny i urnaliska, nadto do towarzystwa, które zbiera monety miedziane i żelazne z czasów Mieszka Białego i Leszka Czarnego, nadto od siódmego roku życia kollekcjonuję namiętnie stare marki pocztowe i właśnie od lat trzech jestem na tropie bardzo rzadkiej „Costaniki“

Tłomaczenie to obaj sąsiedzi uznali za całkiem niewystarczające, niestotne a złośliwe. Wobec tego właśnie w momencie, kiedy przystojna „cimbrella" czy też „casalla" (pokojówka) podawała mi półmisek z przepysznymi lłodas (*lody*), zdecydowałem się na wytoczenie argumentów contra-esperanckich silniejszych i znacznie cięższego kalibru. Przygotowawszy się poprzód w domu silnie i skrupulatnie, wyciągnąłem teraz z zanadrza całą moją w tym kierunku erudycję, nie wahając się wobec suchości naukowych argumentów krasić tę suchość wtrącanem przygodnie takiem krasnosłowiem jak: nieszkodliwy bzik, starcze manjactwo, filologiczna psychoza, wielkomiejska zabawa, kongresowe dziwactwo itp.

Przedewszystkiem więc tłomaczyłem apostołom z prawej i z lewej, że od czasu proboszcza Schleyera, który, nudząc się jak każdy proboszcz w Szwajcarji (gdzie wszystko żyje przerażająco z cnotliwie), wynalazł w r. 1880 volapück, takich *sztucznych* żargonów odkryto już i z powrotem zakryto kilkadziesiąt. Już potem powstał „Idiom neutral", poczem kolejno novilatin, semilatin, latino sine flexione Commercial, *Romanal*, nuovo roman, linguam silianum, lingwa perfect, pasilingua, *universal*, panroman, mundelinqua, mondligvo, lingue internacional, Internatione, simplo, apolema, solresol, parla, excelsioro.

Kiedy sąsiad mój dobroduszny z lewej aczkolwiek zasępiony, widocznie *nie dawał za wygraną* jeszcze i wyjawił mi z dumą, że tylko esperanto jedyne zyskało sobie już przeszło trzy miljony

zwolenników, oświadczyłem mu bezlitośnie, że gdyby zebrać razem monomanów wyżej wyliczonych „sargonos artificiales", znowuż zebrałoby się do trzech miljonów ludzi, którzy dobrowolnie pomagają do jeszcze większego pomieszania języków jak przy budowaniu „campanila Babelos".

Wobec tego sąsiad złośliwy z prawej oświadczył mi, że w każdym razie, jako wielbiciel kultury i cywilizacji latyńskiej, powinienem cieszyć się, że wszystkie te nowe języki sztuczne opierają się bądź co bądź na latynizmie i w ten sposób przyczyniają się do podtrzymania wieczystej i jedynej kultury śródziemno-morskiej. Na co znowu zareplikować byłem zmuszony, że „bzik ten przerzucił się już i do ludów germańskich" i że istnieją już sztuczne języki, oparte na idiomach germańskich, mianowicie paokel, petarisz, tal i tulonisch i że nadto jak mnie wieści dochodzą, co tu dłużej obwijać w bawełnę, jest już szyzma i odszczepieństwo w samym esperantyzmie! tak jest, istnieje już rozłam wśród esperantystów i podział i secesja.

I z tryumfem wyciągnąłem z kieszeni malemeczkę, zgrabną, różowo oprawną broszurkę z napisem mocnym Ido „Oprócz tego kochany doktorze, rzekłem, wręczając mu nowy idjom ido, jest jeszcze ido-tio i interlingua, a wszystkie trzy wywodzą się i są „correcta ediciola" waszego esperanto.

I teraz wreszcie dopiero u obu moich nawracaczy i propagandistos mogłem zauważyć pewne przygnębienie. Dobroduszny, całkiem smętny, zjadał milcząco, niewymawiając mu sextos luodos,

zgryźliwy przeglądał z pewną pogardą, ale nie bez hamowanego zaciekawienia, broszurkę z napisem skróconym „ido", podczas kiedy ja zwróciłem mu uwagę, że w tytule brakuje drugiej połowy słowa „ido", mianowicie „lizmo"

Obaj moi propagandistas zapadli na chwilę w milczenie.

Właśnie też siadał z powrotem przy stole młody człowiek, który z dzikim ogniem w oczach wygłosił wierszowany toast ku czci „illustres nostros solenizantos kai provodnas", właśnie wsławała znowu biało ubrana „sziksas" i drżącym głosikiem zaczynała deklamować Mickiewicza balladę Messira Twardowska.

„Sedos, linkos, łulkos palos..

Tanced, holankas, swawolas" właśnie przystojna chambritla (pokojówka) stawiała przedemną filiżankę noires caffeinas, kiedy zgryźliwy sąsiad z prawej przerwał na chwilę krępującą ciszę między nami, przemógł się, przezwyciężył i oddając mi broszurkę z „ido", nachylony do apostoła z lewej zakonkludował głosem nieco chrypliwym

— Eh! Meliero passelo caro amico con nuestra propaganda! Pana się do esperanta nie przekona! Pan ma przecież swoje esperanto, w którem od kilku lat bezkarnie pisze... Passeto! Basta!

NIC NIE IDZIE NA MARNE

Pod wpływem niedoli, nędzy i blokady uczą się ludziska praktyczności co się zowie. Ci zbierają *obierzyny* z ziemniaków, a tamtych zlewają się pomyje do beczki, u innych *suszy* się wyparzona herbata na oknie, a jeszcze inni dają do przenicowania stare kalosze.

Zaiste jednak nic już nie idzie na Marne!...

Ci zbierają żołędzie na kawę, tamci kolekcjonują szyszki na opał, owi przerabiają spełzłe portiery z okien na *szykowne* płaszcze, a jeszcze niektórzy ze skórek od jabłek preparują przedziwny likwor. Zaiste jednak nic już nie idzie na Marne! Ci z kości starych łupią tinszcze, tamci pestki ze śliwek tłuką w moździerzu na mąkę, owi z rumbarbarum wyczyniają konfitury, a inni stare gazety ściągają i sprzedają na funty.

Zaiste jednak nic już *nie* idzie na marne! ..

Ci z kości starych łupią tinszcze, a inni stare gazety kollekcjonują i sprzedają na funty.

Zaiste jednak nic już nie idzie na marne!...

A są już i tacy, co swoje dzieciska wysyłają rano za miasto, za rogatki, aby zbierały —*pokrzywy*!

Co znowu? Pokrzywy?

Tak, pokrzywy. Nawet pokrzywy! Niech idzie do Skaryszewskiego parku Mancia i Jacek, Bolek i Lolek i niech zbierają pokrzywy! Niech się uczą praktyczności za młodu. Czym skorupka za młodu nasiąknie, tym na starość trąci! Niech zapamiętają co znaczy wojna. Trzeba im krzyczeć do ucha. Bębny, pamiętajcie sobie, że nic w życiu nie idzie już na Marne! Idźcie tedy zbierać pokrzywy.

Żebyście się nie ważyły nawet mówić, że coś może iść jeszcze na marne!

Wszystko, co dawniej szło na Marne, co się już uważało za stracone, za niepotrzebne, to teraz obraca się na użytek, na korzyść, na dobro, na dobro całej ludzkości! Nawet pokrzywy! Dawniej każdy passant czy pasażer przechodził zdaleka koło pokrzywy, sądząc, że to zielsko, że ten nieużytek w przyrodzie tylko kłuje i piecze. Teraz przechodzi się koło pokrzywy z radością, z czułością, z serdecznością.

Albowiem wie się już, że w przyrodzie i w życiu nic nie idzie na marne.

Wie się, że z tej pokrzywy, tak kolącej w lecie, mogę mieć w zimie cacaną koszulę. I że z tej samej pokrzywy, którą chciałem już zdeptać w maju, będę miał w grudniu duże prześcieradło i że z tej samej pokrzywy będę miał ciepłą kołdrzynę na Madejowe łoże i przeelegancki płaszcz z paskiem i parę bajecznych skarpetonów na dodatek.

Zaiste bowiem nic już nie idzie na Marne!

Mało komu wiadomo bowiem, że ta paląca, piekąca pokrzywa zawiera w sobie proteinę bardzo dużo proteiny. Nie wiem co to proteina, ale wiem, że inni wiedzą, że pokrzywa ma proteinę i ta mi wystarcza. I dzięki tej to proteinie z łodyg pokrzywy można mieć włókno.

A z tych włókien bardzo sprytni cudzoziemcy umieją fabrykować materjały. Niech fabrykują Panie Boże dopomóż!

W każdym razie nic już nie idzie na Marne! I niema tego złego, coby na dobre nie wyszło. I niema takiego medalu któryby nie miał dwóch odwrotnych stron! I niema takiej niedoli, coby się w dolę nie przemieniła! I niema takiego chwasta, z któregoby się nie dało zrobić ciasta. I niema takiej pestki, z którejby się nie dało zrobić nalawki.

Taka pokrzywa, zdawałoby się wedle pozorów sądząc, nieprzydatna do niczego, rośnie to sobie szkaradzieństwo na obrazę Boską, z krzywdą ludzką, dokuczając jeno, kłując, piekąc, paląc, ból zadając. Tymczasem okazuje się, że i z niej można mieć wiele, wiele pożytku. Okazuje się, że na pokrzywie można spać, pokrzywą się otulać, w pokrzywie po mieście paradować, pokrzywę za drogi pieniądz sprzedawać, plantacje z pokrzywy zakładać, z pokrzywy zrobić pasek, na pokrzywie zbić majątek.

Zaiste bowiem nic już teraz nie idzie na Marne!

Z dziesięciu kilogramów łodyg pokrzywich da się zrobić cały kłębek nici. A czy wypada teraz

mówić jak dawniej będą z tego nici? Ileż to kłębek nici kosztuje teraz? Z czterech klg. pokrzyw dostaje się 2 i pół metra materjału zbliżonego do szewiotu. A ile teraz metr szewiotu? Za sto klg. łodyg pokrzywy można dostać 26 marek. Za sto klgr. znów liści otrzymuje się 22 marek!

Jeżeli tedy posiada się czworo dzieci w domu i wyśle wszystkie czworo rano o czwartej do Młocin lub nad brzegi Wisły (naszej Sekwany czy Marny), to do godziny czwartej po południu każde z nich winno zebrać minimum po 50 klg. pokrzyw. Wieczorem zatym każda czworodziecka rodzina może być bogatszą o 56 marek, co czyni miesięcznie 1680 marek. Jeżeli na zbieranie pokrzywy wyśle się jeszcze z dziećmi teściową i przepisze jej obowiązkowo zebranie minimum 100 klg., to dochód miesięczny każdej przeciętnej familji warszawskiej wyniesie z samej tylko podmiejskiej pokrzywy plus minus 2.000 marek. Czas by więc już było pomyśleć o organizacji krajowego pokrzywnictwa! Czas by było utworzyć Towarzystwo Przyjaciół Pokrzywy! Czas by było utworzyć związek racjonalnej hodowli pokrzywy.

Zaiste bowiem nic nie idzie już teraz na marne.

Trzeba to sobie wykrzyknąć głośno i radośnie. Brak bawełny w Europie Środkowej każe wszędzie szukać jej ersatzu, zastępnika. Do Turkiestanu skąd należało jej się spodziewać, okazało się jest zbyt daleko.

Szelmy Sarty zwyczajnie zajmujące się hodowlą bawełny, teraz dopiero nabrawszy ochoty do

wojowania, wolą się zarzynać wzajemnie i rzucać na łeb w awantury militarne.

Musimy więc sobie jakoś radzić bez Turkiestanu. Będziemy mieli oczwabkę bawełny z trawy marakiej i z chmielu. Chmiel zamiast iść na smaczne piwko, będzie szedł na fabrykację prześcieradeł. Ale głównie będziemy fabrykowali materjały z pokrzywy. *Jak sto lat temu*. Zatem zakładamy pierwszą krajową plantację pokrzywy. Wszak nie jesteśmy jeszcze bankruci!

Zatem bowiem nic już teraz nie idzie na marne! Zwyciężyliśmy! Zwyciężył! Hosanna! Alleluja!

KONSTANCIN GENUMMEN

W pierwszych dniach kwietnia r. 1918 po krótkiej walce padł aryjski Konstancin po krótkim bohaterskim oporze a na czerwonej baszcie wodociągu załknięto z tryumfem sztandar zwycięski Izraela. Przez Aleję Sienkiewicza przemaszerowała w ordynku bojowym kompanja „Makabi" i batalion korpusu „Jardenyi", poczem na placu przed Kasynem w Parku głównodowodzącemu zwycięskich oddziałów wręczył młody hrabia Zawisza mąż panny Kohn w imieniu właścicieli willi na tacy chleb, sól i klucze od Parku, wypowiedziawszy krótką okolicznościową przemowę, na zakończenie uroczystości orkiestra odegrała „Kol nidrę" i „Póki my! żyjemy". Odtąd już Kohnstancin jest w niepodzielnem i nieodwołalnym władaniu naszych najserdeczniejszych podobnie jak Busk, Ciechocinek, Szczawnica, Zegiestów. „Najmłodsi z Aryów" i w każdym razie nie najmądrzejsi z Aryów muszą sobie już gdzieindziej rozbijać swoje namioty i zakładać nowe leinska. Tu już nie mają nic do powiedzenia. Od Kohnstancina im wara. Kohnstancin jest w „ejruwie" Kohnstancin is genummen! Konstancin is koszer! Nasz

Jeszcze cztery lata temu nie było w Konstancinie elementów hebrajskich ni na lekarstwo, ni okaz na pokaz. Konstancin był trefny, okrzyczany jako nieliberalny, nie demokratyczny, nie progresywny. Była to jedna z twierdz piekielnej reakcji i wstecznictwa. Nawet bardzo już zasymilowane, kilkakrotnie chrzczone, zagorzałe patryotyczne nie-Aryjczyki nie miały odwagi cywilnej przyjeżdżać tutaj na dłużej. Właściciele willi nie byliby im wynajęli dachu nad głową ani na jedną dobę, cóż dopiero na kilka dób. To też nasze Nalewki zaszczycały sobą Marjenbady, Karlsbady, Francensbady, babcia Perlmutter wyjeżdżała rokrocznie do Ciechocinka, a Constantins les Bains były od „naszych najserdeczniejszych" formalnie zaasekurowane. Była to więc oaza wypoczynkowa kupieckiego patrycyatu i solidnego mieszczaństwa, czysta i cicha, nobliwa, skromna, miła, wonna. W miesiącach letnich zażywali tu *otium cum dignitate* przedstawiciele naszej industryi z familjami, świat szanowany i wzajem się szanujący, warszawska *gentry*. Teraz Kohnstancin jest bezapelacyjnie opanowany przez warszawski *White chapel* i zbogacone szumowiny wojenne. Już przed wojną jeszcze bardzo nieśmiało zaczęli się tu pokazywać początkowo jako fijołki w trawie reprezentanci żydowskiej małej szlachty (Kleinadel) i wielkiej szlachty (Hochadel, aszkenazim) konsulowie rozmaitych państewek egzotycznych, jak Persja i miniaturowych jak Dania. Z chwilą jak dla tych zrobiono ustępstwo i wyłom w zasadzie niewpuszczania „nawet synów Natana" Mędrca, los Konstancina był już przesądzony, wyłomem tym jak zawsze,

choćby szparą najdrobniejszą, zaczęli wciskać się kuzyni i krewni kuzynów i przyjaciele krewnych kuzynów. Dziś wszystkie domki, wszystkie dworki choćby najbardziej stylowo swojskie zapchane są już po brzegi „swojskimi cudzoziemcami". Jest to też sui generis noblessa bardzo w każdym razie ustosunkowana, świetnie skoligacona, głównie z dzisiejszą biurokracją noworosyjską. Objaśniano mnie i pokazywano mi teścia sowieckiego ministra aprowizacji, brata jenerał gubernatora Charkowa, zięcia prezydenta republiki Transkaukaskiej, dziadka komendanta Kronsztadu, brata stryjecznego ambasadora rosyjskiego w Lizbonie, ciotkę obecnego ministra marynarki, szwagrową obecnego adjutanta dyktatora Trockiego, wuja ambasadora republiki dońskiej... Na pierwszy rzut oka jednakowo trudno przypuścić, że obecni goście i władcy Konstancina mają kuzynów, którzy porobili tak olbrzymie karjery. Sądząc po manierach zdawałoby się, że jest to sobie demokracja a raczej ochlokracja czy paserokracja czystej krwi. Czasem nawet robi wrażenia bardzo żałosne i obskurne. Kiedy się widzi np., że w tej restauracji, w której niegdyś zabawiał się wesoło w towarzystwie Gucia Potockiego Chaimek (Jaime) Bourbon d'Orlean (kandydat na tron hiszpański), tu teraz zasiada Chaimek Hertz z Guciem Bajlisem, nie sposób nie zawołać: *o jerum jerum qualis mutatio rerum!* Dawnymi czasy cała solidna *society* kostancinska siedziała sobie po zacisznych ogródkach, polewała swoje kwiatki, mustrowała swoje dziatki, wieczorami grywała na werandach w bridża. Pa-

nienki ubierały się dystyngowanie, skromnie, blanbeki jeździły na rowerach, grały w tenisa, tu i owdzie z flirtu przez szlachcty rodził się marjaż i dwie solidne firmy kupieckie stawały jesienią na kobiercu, kojarząc się przez swe latorośle. Constantins les Bains były oazą dobrego tonu, smaku, dobrej kuchni, manier, obyczajów i dobrego powietrza. Dziś powietrze mocno przesyca —, felor cohn-lenr-cns'. Dzisiejszy Kohnstancin stał się letnią filją i parafrazą Nalewek. Wszystko to przez cały dzień wałęsa się po Alejach, wystaje przed willami jak przed sklepami za Żelazną Bramą. Nie można ni przejechać ni wyjechać, żeby na foksaliku koleżkowym nie natknąć się na zawsze w komplecie zebrany cały ten melanż wrzaskliwy, hałaśliwy, postrojony, zadowolony z siebie, wyczupirzony, wykokocony, wypomadowany, wyczesany a czasami nawet wymyty. Musi być zawsze przy każdym pociągu pani Fajga z pieskiem i pani Golda z mężem i pan Kuba w nowiutkim kostjumie tennisowym z „rakietem" w ręku i pan Dawid ze strzelbą na ramieniu, jako że znów wybiera się na bażanty z nagonką do Skolimowskiej puszczy.

A od czasu do czasu pojawia się jeszcze ku ogólnemu zadowoleniu i dumie narodowej i pan Lejosz na koniu, młody sportsmen, który przed dworcem zgrabnie ale ostrożnie zeskakuje ze szkapy, przywiązuje rumaka do drzewa i jako ten Kmicic, jako ten Lohengrin, jako ten Ursus, albo taki Tanhäuser wkracza na arenę przed dworcem. Odprowadza się to ciągle i przyprowadza, przeprowadza, żegna, wita, nawołuje, wrzeszczy, rozpowiada,

kłóci, bandryczy, godzi, śmieje, parska, kicha, pluje, charka, całuje, popycha, wciąga, wyciąga, renomuje, reklamuje, imponuje i to wszystko wyczynia na alemożliwy, najhałaśliwszy, najtrywialniejszy „ma oler" torturując wprost nerwy ostatnich Mohikanów aryjskich

— A pozdrów pan Izydora panie Kugel!

— Mundek kiedy ty mi oddasz mojego Norwida?

— Dowidzenia panno Rebeko Zobaczym się w ministerjum

— Panie Benek nie zapomnij pan czekoładek od Wedla!

— A niech konsul zarezerwuje dla mnie miejsce w Radzie Stanu!

— Moje półbuciki to one kosztowały 600 marek

— Pan potrzebuje tylko powiedzieć prezydentowi, że ja się na to nie zgadzam i szluss On już wie!

— Wieczorem pojedziemy do Mirażu, jak zawsze w piątek!

— Prenez garde a la domest ique Abraham!

— Tylko pan ręce trzymaj przy sobie panie Lewi

— Dla czego on ma trzymać przy sobie Lola, kiedy ciemno

— Jak się zobaczę z regentem, to ja mu już powiem kilka słów do słuchu!

— Na kolację mamy dzisiaj kaczki.

— Pani Rahela dedykowała ten sonet pra-

łalowi, ale bo też jest fajny. Pan nie ma pojęcia o wyobrażeniu!

— Ja powiem hrabiemu, coby pana wzięli do departamentu. Auf mejne munes.

— Moje prelekcje zaczynają się we wrześniu. Tą razą wykładam znów o Napoleonie. Zapisz się pan. Co panu szkodzi.

— Jak pan mnie jeszcze raz pocałuje w tamto miejsce, to się obrażę.

— Co jest teraz za interes chinina. Pękło na fest z chininą. Ja się biorę do salwarsanu. Rób pan zemną.

— A kup dla nas Perla, dwie puszki z sardynek. Tylko upraszam ciebie francuskie!

— A idź zaraz do domu Regina. Nie ciągle po tych krzakach i krzakach. Nie wypadnie panience przechodzić sobie ciągle po krzakach.

— Zbyszek, nie zapomnij dla mnie fardelleśów. Tylko nadziewanych!

— Moje uszanowenie panu prezesowi. Sługa pana prezesa.

— Good by Symche! Good by. Zdrastwujte!

— Au revoir Chave! W sobotę czekaj.

— Git nacht doktor Szczebszeszyner.

— Do zobaczenia Salome.

— Dowidzenia Jojne—a bądź spokojne.

— Samowar przywoź stary!.

— A to parec, nawet się nie pożegnał.

I kolejka naładowana, jak śledziami tego stylu bagażem pasażerskim, odjeżdża, a za godzin dwie takim samym napchana—przyjeżdża. I ten sam tłum

znów wyraja się z will i z domków w komplecie i tłoczy na przysianku i tłamsi, szwargocze, rechocze, mamrocze, powleirze kazi

Kohnstancin genummen! Niema co dłużej ukrywać tego. Letnisko stało się koszer. Autochtonowie są w defenzywie i zwycięsko zerwawszy kontakt z następującym niebacznie wrogiem cofnęli się najniespodziewaniej na poprzód upatrzone pozycje tylne. Odbyła się „penetration pacifique", „przenikanie pokojowe", ale nieubłagane, gdyż wszystkie „dacze" są zajęte przez nowoczestnych Polaków, bo przepłacone. Aczkolwiek w Alejach, w parku rozbrzmiewa mowa polska, ta specjalnie poprawna, sztuczna, literacka mowa i czytają się pisma polskie, to jednak zapuściwszy się w okoliczne gaje, usłyszeć można w ciszy leśnej komyszy na Grapie jak nawet pan Benek z panią Dorcią w napięciu uczuciowym iną lircik w żargonie, a nad brzegiem ruczajów często gęsto znajdziesz ostatni numer „Letzte Najes" i „Judisches Wort" zagubione przez Jagienkę Kohn lub Lecha Lewi Maluczko, bo już w przyszłym sezonie napłynie na Kohnstancin warstwa następna już i w narodowych pięknych strojach. A wtedy i dokoła Constantin les Bains przeprowadzimy piękne drucíki Eiruwu. Wart a bissele. Jojne! bydź spokojne!



O kim jak o kim ale o profesorze Podobłockiej nie byłbym nigdy przypuszczał, że i jej uda się stworzyć nową partję polityczną i odegrać tak wielką rolę w historycznych wypadkach, jakie przeżywać nam przyszło. Profesor Podobłocka bowiem, w kółku przyjaciół zwana krótko i serdecznie panią Ociąą wykładała spokojnie przez dobre lat (o ile mnie pamięć nie myli) 14 czy też 44 dzieje literatury polskiej na dwóch pierwszorzędnych kurnikach panieńskich. Na tem stanowisku i w tym charakterze *spełniała swoją służbę społeczną w sposób* więcej niż poprawny i zasłużyła sobie na bezwzględny szacunek, gdyż w przeszło 20.000 dziewic polskich wpoiła bądź co bądź pierwsze i fundamentalne wiadomości o kolejnem następstwie i znaczeniu w piśmiennictwie Kochanowskiego, Twardowskiego, Naruszewicza, Korzeniowskiego aż do Rodziewiczówney i Jedlicza z Poronina włącznie.

Wzamian za te skromne, ale całkiem realne *w swem małem kółku zasługi* zyskała sobie szczere uznanie nas wszystkich. Pomieszczane zaś od czasu do czasu w piśmie dla młodzieży artykuliki

z dziedziny pedagogji, zawierające wiele myśli racjonalnych i zdrowych cieszyły się poczytnością nawet u laików i ludzi nic z nauczycielstwem nie mających wspólnego. W ostatnich dopiero latach dość niespodziewanie zaczęliśmy dostrzegać w pani Orci pewne symptomaty rosnącego gwałtownie rozstroju, dyssolucji, asienji, asfyksji i abulji, z mocną domieszką „histeria acuta cum stupore". Miły swój salonik coprawda nieco staropanieński kazała ni stąd ni zowąd obwiesić od góry do dołu łowickiemi i zakopańskimi kilimami. Za mozolnie uciułane pieniądze zakupiła bez żadnego celu rzeźbę Biegasa czy Dunikowskiego, przedstawiającą włościankę w dziewiątym miesiącu; paralelnie zaś z tem zaczęła coraz częściej wtrącać do rozmowy zdania wysoce niepokojące, niespodziewane, często wprost błędne nawet obłędne. Poczciwy doktór Szczebrzeszyner tłómaczył całą tę niemiłą nową fazę pani Orci przedłużeniem wprost do niemożliwości stanem przymusowego dziewictwa. Ja zaś jako wyznawca bezwzględny teorji Naegelyego o idjoplazmie oponowałem temu stanowczo, twierdząc, że w profesorze Podobłockiej przeważają absolutne pierwiastki arhenoplazmatyczne nad teleplazmatycznymi, inaczej M nad F i że w następstwie tego nie można do osoby z tak wybitną przewagą cech męskich stosować kryterjów czysto medycznych, jakie się stosuje do całkiem normalnego przeciętnego gatunku i materjału ludzkiego. Symptomata niepokojące mnożyły się jednak fatalnie. Zaniedbując coraz częściej swoje obowiązki na obu pensjonatach, porzuciwszy a raczej „poniechawszy"

pisania ciekawych artykulików z dziedziny fachowej pedagogji czytała prof. Podoblocka a raczej pochłaniała nocami całe tonny jakiejś tajemniczej makulatury, którą starannie przed naszymi oczyma ukrywała i zamykała. Wreszcie pewnego pięknego dnia, gdyśmy z doktorem Szczebrzeszynerem zaszli do niej na piątkową herbatkę popołudniową oświadczyła nam niespodziewanie z hektycznymi wypiekami na twarzy rozgorączkowana i wprost chorobliwie niespokojna.

— Wyobraźcie sobie moi mili, że ja o samym tylko Juljuszu Słowackim przeczytałam w tym roku 300 prac, studjów, essejów, szkiców i przyczynków.

Kiedy teraz zdumieni i nieco stłapieni tem odkryciem a również i tą przesadą w cyfrze prac przeczytanych, oświadczyliśmy, że to cokolwiek tęga blaga, gdyż niemożliwem jest, aby w społeczeństwie tak pauperystycznem jak polskie znalazło się trzystu mężczyzn, poświęcających się studjom nad nawet największym poetą, pani Orcia wyjąwszy z tryumfem maleńki notatnik zaczęła nam czytać krótki spis nazwisk istotnie t r z y s t u, wśród których zdołałem szybko zapamiętać. Witek, Janik, Koprowicz, Kobzdaj, Walczak, Maślak, Kretz, Ciołkosz, Ćwik, Hausner, Schneider, Wechschler. Dwieście pięćdziesiąt nazwisk pozostałych wyleciało mi z pamięci, głównie prawdobnie z tego powodu, że są to nazwiska, które słyszy się dopiero po raz pierwszy, ergo idące z warstw, w pierwszem pokoleniu dla kultury polskiej zdobytych, ergo prawdopodobnie z gorącym, krzepkim

i nieco prymitywnym entuzjazmem odnoszących się do tego ukochanego wieszcza, który z polską warstwą historyczną (gnlotącą chłopa i bagatelizującą żyda) w całej swej twórczości nieubłaganą wiódł wojnę.

Jednostronna stoli lektura profesora Podobińskiej, tak bardzo specjalna a damsko-bezkrytyczna, lektura wszystkiego, kto gdziekolwiek i cośkolwiek wypisywał i przepisywał o jednym tylko z wieszczów naszych nie mogła pozostać bez śladu w intelekcie, w charakterze i w zachowaniu się nawet codziennem pani Oreł Spokojna dotąd i ciemno a gustownie ubierająca się osoba zaczęła raz po raz pojawiać się w jakichś dziwnie fantastycznych, szeroko upierzonych kapeluszach, w jakichś niezwykle kolorystycznych szalach, z jakimiś szerokimi kryzami, garnirującymi zbyt swobodny dekolt, wreszcie, co nas przyjaciół jej do szewckiej pasji już ztrytowało obcięła sobie swoje piękne włosy a la maniere Mistinguettel

W saloniku jej, gdzie dotychczas schodzili się od czasu do czasu ludzie ciężkiej pracy zawodowej dla godzinnego pogwarku, wymiany zdań i myśli i wypicia szklanki herby spotykało się teraz coraz częściej jakieś indywidua ucharakteryzowane na Rinaldo-Rinaldinich, jakichś bez wiadomego zajęcia niebieskich ptaszków, jakieś zapoznane miernoty, jakich pełnych pretensji do świata niedoników, jakichś znów adwokatów politycznych a postępnych, jednem słowem specjalny gatunek wielkomiejski, jaki się zwykle na Zachodzie koncentruje w nocnych kawiarniach z muzyką i dam-

ską usługą. Z czasem coraz bezkarniej i nałogowiej zaczął też bywać jakiś drybas wysoki i chudy jak latarnia, o którym się mówiło, że „wreszcie zjechał z Szwajcarji", że „zapowiada się jako niepospolity działacz społeczny w nowym stylu", a z którego zdań pospolitych można było jedynie wywnioskować, że „za dużo był w Paryżu", a za krótko w elementarnych szkołach. Z działaczem „zapowiadającym się" zaczęła również przychodzić jakaś znakomitość chiromancka, spirytystyczna, okkultystyczna, jakaś panlusia szykowna, w żółciutkich jedwabnych ażurowych pończoszkach, która przy zaciemnionym świetle lubiła i umiała wróżyć mężczyznom przyszłość ze stolików, z talerzy, z rąk, ba nawet z nóg, a wróżby te pisała wierszem i to doskonałym wierszem okławonu i tercjalami. Towarzystwo to nowe bardzo mieszane i niesztańcze przyjmowaliśmy my starzy przyjaciele profesora Podobłockiej z mocnem uprzedzeniem i nieskrywaną niechęcią, wiedząc przedewszystkiem, że wejście tego nieznanego żywiołu ze znanej kawiarni „Pod ciemną gwiazdą" jest przedewszystkiem bardzo kosztowne dla gospodyni gdyż sprowadza przymus alkoholu oraz konieczność karmienia mięsnego kanapkami i tartinkami, których grupa ta (aczkolwiek w obłokach stale przebywająca) pochłaniała całe masy, stosy i tonny. Stosunkowo zbyt dużą konsumpcję mięsną i spore spożycie spirytusu w formach uszlachetnionych wynagradzał ten nowy, bezprzecznie mocno spirytualistyczny element towarzyski w saloniku prof. Podobłockiej tem głównie, że odnosił się do

niej z jakimś forsownym, nabożnym szacunkiem, tytułując ją to „naszą Aleksą", to „nową Dmidessą" to całkiem już niezrozumiale „Egerją przyszłego wice prezydenta republiki ludowej" i t. p.

Po upływie pół roku niespełna poczciwa pani Orcia zadłużyła się w trzech „Kredytach" na łączną sumę 1460 rubli, a jeszcze poczciwszy doktór Szczebrzeszyner oraz trzech innych starej daty filistrów, pasibrzuchów, wyzyskiwaczy i burżujów z dawnego kółka jej przyjaciół miało cokolwiek wydłużone gęby i nosy na kwintę opuszczone, jakoże procenciki musieli płacić aż miło. W miarę jak zadłużała się profesor Podoblocka i brnęła coraz głębiej w tę wyższą apirytualistyczną atmosferę, w jakiej kąpały siebie i ją nowe słońca z kawiarni „Pod Ciemną Gwiazdą", chudła biedaczka sama z dnia na dzień, skóra na twarzy robiła jej się papierową, oczy zapadłe i niezdrowym blaskiem gorejące. Teorje zaś i doktryny, które wygłaszała teraz i to z coraz większym uporem zdradzały już bezprzecznie presję i ucisk psychiczny tego środowiska, które gdzieindziej na szerokim świecie np. w Paryżu ogranicza się na Montmartrze, we „Wiedniu" organizuje podziemne kabarety, a tylko u nas szczęśliwym trafem w krytycznych momentach ujmuje w ręce zamiast szmaka z „Zielonym Balonikiem" ster polityczny. Musieliśmy więc zestarym Szczebrzeszyncem słuchać kolejno, że „jedynym lekarstwem na emigracje jest narzucenie ludowi maltuzjanizmu" i systemu dwóch dzieci, że „żeby nowe powstało, trzeba wszystko stare zburzyć do reszty, doszczętnie" i „miasta polskie

poprzenosić na inne miejsca", „że stolica republiki winna być gdzieś na szczytach, najlepiej w Zakopanem", do konstytuanty powinny wejść kobiety oraz „reprezentanci młodzieży i dzieci", że „prawo małżeńskie winno być zreformowane przez komisję złożoną wyłącznie ze śpiewaczek i poetów", że uświadamianie płciowe dzieci 6-letnich powinno się odbywać demonstracyjne, figurycznie i publicznie dla odstraszenia ich od porubstwa, że na karabiny maszynowe wystarczy „skoncentrowana wola ducha", że „głęboka ślepa wiara wszystkich w Wernyhorę może stawiać i obalać trony" że trzeba tylko mieć serce i patrzeć w serce, że trzeba raz jeszcze „zdeptać mędrców szkiełko i oko", że trzeba tylko aby każdy z nas zdjął ze siebie „palącą koszulę Dejaniry opportunizmu", byśmy „burakami i pszenicą grób Polski zasypali", na ołtarzu wystawili „monstrancję z rublem" i t p. i t p.

Wszystkie zaś te programaty i cytaty, projekty i plany, będące echową kwintesencją długich ponocnych rozmów rodaków z kawiarni „Pod Ciemną Gwiazdą" łączyła nadto, kojarzyła i krasiła biedna pani Orcia całkiem dowolnie i frywolnie z wyrywanymi reminiscencjami nauczycielskimi z „Ksiąg Pielgrzymstwa" z „Psalmów Wiary", ze „Zborowskiego", tworząc z tego istną, jak powiada Rzecznicki w najgenjalniejszym i najnieśmiertelniejszym dramacie Juljusza, w Dejanirze „kaszę z gwiazd djamentów i kwiatów".

Z czasem jednak w tej swej manierze łączenia „testamentu więzczów" z ekskrementami

mózgowymi kawiarnianych demagogów, w tem bluźnierczem łączeniu motywów z Montmartru z echami z Monsalwaczu, doszła wreszcie biedna pani Orcia do tego, że stary Szczebrzeszyner, który całego Pana Tadeusza umiał na pamięć, pewnego razu oburzony już do żywego, blady i wściekły palnął ręką w stół krzyknąwszy „dosyć! tu już trzeba skończyć Bóg nas czy djabeł złączył trzeba się rozłączyć!" Porozumiawszy się tedy z rodziną Podobłockich postanowił naszą biedną Anielę wywieźć z Warszawy na pół roku, oderwać par force od grupy dyplomatów z kawiarni „Pod ciemną gwiazdą" i umieścić na kuracji w jakimś domu zdrowia dla nerwowo ciężko chorych. Do tego planu ratunkowego skłoniło staruszka i to jeszcze, że niestety w międzyczasie dostała już biedaczka dymisję i zwolnienie z obowiązków w obu pensjonatach.

Tymczasem teraz! dzisiaj! stało się coś wprost przeciwnego. Dnia bowiem 30 sierpnia r. b. przeczytaliśmy w pismach notatkę, że „formuje się nowe stronnictwo w kraju, tworzące lewe skrzydło lewego centrum" po czem dnia 31 sierpnia, że nowe czterdzieste czwarte stronnictwo przybrało nazwę „Ligi Samuela Zborowskiego" a 1-go września już dłuższy komunikat tej partji podpisany przez prof. Podobłocką jako prezesa, owego dryblasa z Paryża jako wice-prezesa a ową chiromantkę jako sekretarza partji.

W manifeście politycznym nowego stronnictwa 44-tego! zaznaczono, że stronnictwo staje na gruncie porozumienia z „narodem Kanta i Szylle-

ra", Schopenhauera i Simmela. Zapomniano dodać Schumanna i Schuberta! Również zapomniano dodać, że lokal klubu *politycznego* przenosi się z powrotem do kawiarni „Pod ciemną gwiazdą". Bowiem biednej naszej pani Orci wymówiono niestety i mieszkanie.

—

STAFYLOKOKI

Wojna, jak czytamy, miała na celu przeczyszczenie moralnej atmosfery europejskiej i podniesienie poziomu etycznego w narodach, klasach, jednostkach. Szczególnie atoli miał się rozwinąć znowuż instynkt „heroiczny" przy równoczesnej porażce rozwielmożnionego gruboskórnego materjalizmu i mammonizmu. Tak przynajmniej zapewniali ci, którzy w ludobójczym rzemiośle wojennym, dopatrywali się „czynnika Bożego porządku na ziemi" *seminarium heroum*, egzaminu narodów i indywiduów z samozaparcia się, z gotowości do ofiar, „Stahlbad der Nationen".

Czwarty atoli rok wojny przekonywa nas dość dotkliwie, że przepowiednie te cokolwieczek zawiodły. Instynkt heroiczny rozbudzony w wielkich miastach, doprowadza obecnie do niesłychanego wprost w dziejach zbogacenia kroniki kryminalnej. Normalny burżua nie zasypia już dzisiaj snem sprawiedliwego, gdyż zasnąwszy mógłby być wraz całym mieszkaniem zrabowanym doszczętnie. Nie można też bez zawahania stwierdzić, że kult złotego cielca mocno osłabł w Europie. Raczej wprost „naprzeciwko" wypada skonstatować, że tak zwy-

rodniałej, bezecnej, gorączkowej, cynicznej, zbójeckiej i bez żadnych już szranek i skrupułów pogoni za złotem, takiego depiania i rozgniatania bliźnich i konkurentów, takiej pogardy dla kodeksu karnego jak obecnie, czasy pokoju nigdy nie zaznały. Każdy naród, państewko, słoneczka roi się od paskarzy i gulaszbaronów. Pełno ozłoconych szumowin w Budapeszcie i Kopenhadze. Nie brak ich w Częstochowie i na Pradze. I w Tokio są i nazywają się tam narikins. W Wiedniu kąpią w wannach z grzaną kolońską wodą. W Sztokholmie rozmaite Maliniaki zapalają staroholenderskie cygara starymi jekaterynami.

I do nas już wracają ze wschodu nasze Nababy i Krezusy. Po upadku Bonapartyzmu została dynastja Rotszyldów. Po upadku Romanowych przyjeżdżają nasze Bielchrödery i Mendelsohny. „Polacy na Sachalin, rodel cy na hypotekę". I podczas, gdy po ulicach człapią bałaszkwe drewniaki, w których paradują prawnuczki tych z pod Grochowa, podczas gdy opadają ostatnie inexprimable z wnuków tych z Kampinoskiej puszczy, nowe *nouveaux* nowa o-pintokracja instaluje się wygodnie w Syrenim grodzie. W kuirach wiozą obrazy „Watteau" z ekspropriowanych galerji. Ich damy obwieszają się brylantami Wiazemskich i Bariatyńskich, Sobańskich i Sanguszków. Ich córki jedzą po lożach w antraktach kiełbasę, a skorupy z jaj zrzucają na widzów w parterze. Ich synowie w brudnych restauracjach II klasy drą palcami kurczęta, popijając pomerym w kuflach ubrani w piękne smokingi i koszule czerwone... prawosławne. A cała ta nawała zbogaconej dziczy płaci

za wszystko golówką, wyjmując raz po raz olbrzymie ciężkie paczki banknotów, przewiązane gumą od podwiązek lub sznurkiem od bucików. Ciężkie paczki banknotów.

Ale w tych to właśnie banknotach kryje się Nemezis na nich. Pocieszmy się bracia! Jest na to talałajstwo paskarskie dopust Boży. Wabi się stafylokoki. Pamiętajmy: stafylokoki! Im grubszy pęk banknotów, tym groźniejsze niebezpieczeństwo, tym bliższa kara na polipy i wampiry. Oni zjadają ludzkość aryjską, ale ich zjedzą stafylokoki. Pocieszmy się! Są to bardzo małe, bardzo niewidoczne zwierzątka, ale jakże zabójcze, jakże bezlitosne! Odkryli ich, świeżo już czasów wojny uczeni amerykańscy. Są to bakterje bezlitosne, trzymające się tylko banknotów. Ze stafylokoków rodzi się furunkul, dyfteryt, tyfus. Kto wie, czy nie rak, nie phtysis, nie lues? Obliczył taki jeden profesor amerykański, że na jednym banknocie wegetuje sobie czasem 1,766 820 stafylokoków. Ileż ich tedy siedzi sobie spokojnie na 8 tysiącach pięciosetrublówek, które trzyma na brzuchu w starej skarpetce, taki paskarz i galaszbaron, taki Gedali Masohn czy Eli Salvarsohn? Obliczył pewien amerykanin, że na 150 banknotach pozornie czystych, ledwie wchodzących w cyrkulację już jest 26 sztuk kompletnie zarażonych bakterjami reszta tylko „lekko", trychophytycznie! Obaczcież teraz jak wyglądają banknoty naszych paskarzy! Przez ile to tysięcy rąk przeszły. Zgroza pomyśleć. I stąd to taką mizerną cerę mają nasze opasłe paskarze, rectè paskacze. Ze Stafylokoków...

Na pustej ciasnej ulicy, twarzą w twarz, spotkałem się onegdaj z jednym z dwunastu tuzinów naszych apostołów „trzeźwości". Nie sposób było wyminąć, jak zawsze Gadułaki szedł jowialnie uśmiechnięty, serdeczny, z szeroko rozwartymi kordyalnie rękoma wprost na mnie. Trzeba się było ukłonić wieszczemu człowiekowi, który bądź co bądź oświat doszczętnie a nadmiaru wiedzy i dzieci i ostatecznie był twórcą dwunastotomowej „Encyklopedji rewolucji europejskich".

— Jakże się cieszę, że pana kochanego spotykam, panie Małkotecki.

— Nazywam się Małkontencki, nie Małkotecki.

— A przepraszam, bardzo przepraszam. Oczywiście. Ma się rozumieć. Tak dawno pana nie widziałem. Nigdzie się pan nie pokazujesz, nie zdzierżasz. A tyle się przez ten czas zdarzyło.

— Zderzyło.

— Niech będzie zderzyło. Wszystko jedno. W każdym razie rad jestem, że zderzyłem się z kochanym panem. Muszę z panem trochę pogwarzyć jak za dawnych dobrych... to jest przepraszam, jak za dawnych fatalnych czasów, *de rebus publicis*.

— Oj że rebus to rebus!

— Prawda, prawda! Szarada? Co? Ale będziemy tak stali na ulicy po próżnicy.. Może wstąpimy na chwileczkę do tego — no do tego pod tego no pod wiechę?. co?

— Pan? do knajpy? apostoł abstynencji? zawołałem zdumiony.

— Abstynencji? Dziś? żadnej abstynencji! Jestem wrogiem wszelkiej abstynencji. Owszem. Jestem za trzeźwością, stoję na gruncie trzeźwości ale właśnie dlatego jestem przeciw wszelkiej abstynencji, przeciw wszelkiej abstynencji .. i absencji! Tak! No nie rób pan ceremonji, deszcz zaczyna znów padać. Chodźmy. Przetrącimy coś. Było niebyło. Raz kozie śmierć. Nie przyszła *góra do Machometa musi Machomet do góry*. Zresztą góra z górą się nie zejdzie, Górski z Górskim zawsze wszędzie ..

I sypiąc po swojemu staropolskiem, siermentowanem przysłowiami, zapraszał mnie uprzejmie do jakiegoś przydróżnego lokalu, w którym kilka lat temu rej wodzili mój szoler z moim strzelcem, a do którego obecnie zawahałbym się wejść, nie chcąc żyć ponad stan i wydawać jednomiesięczny dochód na jednogodzinną przekąskę. Zasiedliśmy przy bocznym stoliczku. Gadulski zamówił kopę raków, tuzin ostryg, gąsior starki i beczułkę piwa. Zauważyłem odrazu, że jest tu jak u siebie w domu. Służba otaczała go czcią, jaką kelnerzy rezerwują dla desperatów i gości nie podejrzewanych o apostołowanie „trzeźwości". Podczas konferencji Gadulskiego z gospodarzem lokalu miałem okazję

przypatrzeć się amfitryonowi bliżej. Miał on sobie gamitur za minimum 10 tysięcy marek, w ruchach jakiś kuczowy niepokój i popędliwość, we włosach siwych nieład i resztki pierza domowego, ale w spojrzeniu orlich oczu dostojność człowieka, który bądź co bądź 50 lat był papu-asoskim Farysem, by wreszcie otrzeźwiawszy, pewnego poranku został z Farysa referentem magistrackim czy ministerjalnym nie wiem, dość, że referentem. Garsoni tytułowali go radcą, jak zresztą obecnie tytułują 98 proc. gości każdej trzeciorzędnej knajpy.

Wypiliśmy trzy po trzy kolejki młodej starki i odrazu duch zstąpił na nas, rozwiązały się języki, t. j. ściślej mówiąc jemu się rozwiązał i plątał i znów rozwiązywał. Mówił ze trzy godziny z okładem, jakby usprawiedliwiając się cały czas z tego, że to on będzie płacił rachunek, że jego stać na poniesienie kosztów tej libacji, że on idzie górą a ja doliną, że on jedzie na wozie, a ja pod wozem. Słuchałem olbrzymiego monologu cierpliwie ożywiając się jeno przy końcu, gdy już mojemu amfitrjonowi jęło się odbijać na głos i gdy zaczynał raz po raz cytować rosyjskie przysłowia i moskalskie zoakomitości rewolucyjne, no i wreszcie, gdy zdradzał zdecydowane zamiary ściągnięcia obuwia na ziemię i strzelania butelkami do celu — w „zierkało" on! taki wróg... Słowiańszczyzny.

Monolog Gadulskiego był raczej jego programową mową polityczną, a conieco spowiedzią confiteor z ostatniej fazy życia, oraz nieco pesymistycznym zarysem obyczajowym jego nowego otoczenia. Jako taki nie kwalifikuje się jeszcze

dziś do publikacji, ale z czasem będzie stanowi pierwszy barwny rozdział bardzo „czarnej księgi“. Mottem całego monologu powtarzającym się też stale, jako łejtmotyw była maksyma: „Kto ma sześcioro dzieci, nie może sobie pozwolić na żaden pesymizm moi drodzy“. Z przysłów powtarzały się ustawicznie „wedle stawu grobla“, „lepszy wróbel w garści“, „nie porywaj się z motyką na słońce“, „pan każe, sługa musi“, „nie mierz siły na zamiary“, „Wandzia leży w naszej ziemi“ „bo była idjotką panie drogi!“ i t. p. Jak z rękawa sypał Gadalski świetne okolicznościowe aforyzmy o „syrenach z za morza“, o „czczych demonstracjach“, o „asymilowaniu się z okolicznościami“, „megalomanji passywistów“ o „bezpłodności negacji“, o „pieszczeniu się snu snami“, o „szczypcie oportunizmu, która dodaje smaku jako sól“, o „kompromiście, który nieoniecznie musi być kompromitacją“, o „dyscyplinie trzeźwości“, „tryumfie trzeźwości“ i t. p.

I mówił to wszystko z zapałem nowonarodzonego neofity. Przytem atoli pił także z uporem starego konfederaty „barskiego“. Przy końcu trzeciej godziny uczepił się jak płotu słowa „rzeczywistość“. Trzeba się liczyć z rzeczywistością! patrzeć w pysk rzeczywistości! oswajać się z rzeczywistością! pokochać rzeczywistość! zerwać z abstynencją od rzeczywistości i t. p.

Było już pusto w lokalu. Kelnerzy ziewali i spali. Kawa czarna w maszynce bulgotała. Gadulski wypiężony, czerwony apoplektycznie, z rozmierzwionym, siwym włosem, rozpiętą koszulą stał

nad stolikiem, chwiejąc się na nogach. „Rzeczywistość jest nieodwołalną"! „Rzeczywistość jest definitywną" Ja wiem, co jest rzeczywistość! Ja jeden! I ja chcę stać na gruncie rzeczywistości. Co więcej — ja już stoję na gruncie rzeczywistości!

I jeszcze nie dokończył rewolucyjny emeryt ostatka słów swej apologii rzeczywistości, kiedy zachwiał się na nogach i jak długi runął na ziemię na grunt rzeczywistości.

Garsoni zerwali się z miejsc. Podnieśliśmy go i położyli na kanapie. Uprzejmy gospodarz wytłómaczył mi z flegmą, że bywa tu codzień, bardzo często w kompanji okkupantstwa, że urzyna się jak nieboskie stworzenie „do białego kolana", „w sztok" i zawsze śpiewa wtedy „O cześć wam panowie magnaci über alles! über alles!"

Jak na apostoła „trzeźwości", to zastanawiające.

—

JUŻ PO ABSYNCIE

W sześćdziesiątym szóstym tygodniu wojny wypowiedziała Francja swoją piątą, a ogólnie licząc z całego świata dwudziesią siódmą z rzędu wojnę. Wypowiedzenie to nie wywołało już większego wrażenia w Europie, prasa nawet pominęła je kompletnem milczeniem. Gdzie niegdzie tylko pojawiły się krótkie notatki, że z dniem tym a tym Republika francuska znajduje się na stopie wojennej z „Artemizją".

Jeden z senatorów wygłosił *przy* tej sposobności bardzo energiczną i ostrą mowę przeciw temu małemu państewku, zapowiadając jego nieodwołalne zniszczenie i rozgromienie jako jednego z najcięższych wrogów Francji.

W istocie trzeba przyznać senatorowi, że mała Artemizja w życiu Republiki odegrała fatalnie szkodliwą i bardzo zgubną rolę. Artemizja wyniszczała rok rocznie kwiat młodzieży w wielkich miastach, podkopywała zdrowie, siły i energię robotnika francuskiego, histeryzowała kobietę francuską, wdzierała się do kasarń i szkół. Wreszcie zaś wpływami swoimi opanowawszy pewne dość

silne grupy sztuki i literatury francuskiej, zdemoralizowała i zdegenerowała je doszczętnie i zaczęła w tych dziedzinach dyskredytować Francję na zewnątrz.

I istotnie trzeba było aż wojny wszechświatowej, aby rząd francuski zdecydował się wreszcie wypowiedzieć wojnę „jusqu au bout" i temu małemu pasożytowi, który żyje krwi dosłownie napsuł społeczeństwu francuskiemu.

Trzeba było aż wojny wszechświatowej, aby wreszcie wypowiedziano wyrok zagłady, maleńkiej ale mocnej „Artemizji", temu niewidzialnemu nawet na mapie mocarstwu, które w pospolitej gwarze nazywa się poprostu — absyntem.

Już od rok temu, kiedy wojna wybuchła, w pierwszych zaraz miesiącach debatowano nad tem, czyby nie wydać i ogłosić wyroku śmierci na ten pozornie tak niewinny napój narodowy.

W ostatniej chwili stchórzono przed tym werdyktem, uważając zakaz za krok tak ryzykowny, jak np. w Anglji powszechna służba wojskowa.

Przez rok cały ten opalizujący narkotyk najbezkarniej jak za czasów pokojowych robił swoje, panował wszechwładnie i nietykalnie i rujnował systemy nerwowe po dawnemu.

Dopiero teraz zdecydował się Rząd francuski wydać rozkaz skonfiskowania wszystkich zapasów ziół, z których absynt się preparuje. Cały tegoroczny plon tej roślinki z alp francuskich, która nazywa się jeszcze delikatniej „genippi" (albo „vermouth"), zakupiony przez władze, pójdzie sobie najspokojniej na paliwo pod kotły i do gazowni

francuskich, a nadto jako alkohol do wyrobu eksplodujących materjałów. Wielkomiejscy nałogowcy i samotrujący muszą się tej zimy obejść smakiem oraz resztkami zeszłorocznych zapasów, które odpowiednio pójdą też w cenie.

Świat cały może tylko przyklasnąć temu wyrokowi śmierci na „Zieloną Muzę", jak to absynt nazwał jego ofiara Alfred de Musset. Zatajony w absyncie szatański narkotyk, sentyaln, nadający obok anyżówki właściwy czar i smaczek temu pozornie niewinnemu, bo tylko 24 proc. alkoholu zawierającemu truneczkowi, przestanie wreszcie w tym pamiętnym roku dewastować młodzież francuską i przedrzeźniającą ją czy naśladującą kawiarnianą gawiedź innych metropolji europejskich. Znikną z werand, z trotuarów przedbarowych, z za szyb lustrzanych charakterystyczne zielonobladé twarze recydywistów-absentistów. Mętnawe zaś choć wonne, niebieskawo-zielone, kawałkiem lodu oziębiane a gorące źródełko natchnienia wszelakich vulgivagizmów, mefistofelizmów, porubizmów, gogizmów, kubizmów, humbugizmów, blegasizmów, żak-kizmów, kram-sztyków i kramsztuczek zostaje wreszcie raz na zawsze mocno zasypane. Obiecujący synkowie burżuazji z Warszawy i Bukaresztu „na studja", „po kulturę", „dla wykształcenia politycznego" jechać muszą gdzieindziej. Absyntu bowiem w nowym Paryżu już nie zastaną.

Artemizja poszła pod kotły.

—

CZŁOWIEK SIŁY"

Z prawdziwą satysfakcją obserwuję sobie z kąta linję rozwoju mego kolegi szkolnego Manlusia, dziś już znanego w kraju i okolicy co się zowie centropo polityka całą panie gębą dypaplomaty. Inni mają linje przeważne zygzakowate, koliste lub np. urywane, co jakiś czas niknąc z powierzchni wypadków, bojąc się ciągłego exponowania lub snadź trenują się w samotności i dokształcają dorywczo, zapełniając obszerne luki elementarnej wiedzy *in rebus publicis*. Inni poprostu nie wiedzą jeszcze czego się trzymać, i jakiego płotu i przechodzą sobie piechotą z obozu do obozu, z światopoglądu jednego do drugiego, nie uświadomiwszy sobie jasno, czy chcą być rządzącymi czy rządzonymi. Manluś odrazu, jak to mówią znalazł się „w kropce, odrazu zwąchał pismo nosem, odrazu poczuł skąd wiatr wieje, odrazu znalazł swoją nutę, swoją mentalitę, że tak rzeknę, prawno-państwowo-twórczą. Manlus tedy idzie do „celu prosto, jak z bicza trzasł. Manluś chce należeć do rządzących i dlatego zapowiada się już dziś, jako „człowiek siły". Jakowyś Krakauer nazwał go ponoć nasz Kraftmeyer, czy też Kraftmacher, coś podobnego

Taki „człowiek siły" w naszych środowiskach mężów co to taić, z gumy, mężów z ciasta, z galarety niezwykle wszystkim co się zowie imponuje, ale, trzeba to ostatecznie przyznać, na deptaku politycznym się przyda. Cała atoli wartość polityczno-społeczno-narodowa, że się tak wyrażę „człowieka siły" warunkuje się tym, czy „człowiek siły" jest także właścicielem silnego mózgu. Człowiek siły o mózgu nieoceielęcym jest zjawiskiem jeszcze szkodliwszem od tuzina mężów z gumy, ciasta z galarety.

Maniuś w gimnazjum był cherlakiem, w naukach nieco tępym, ospałym i niemrawym. Świadczyłoby to stanowczo za nim, gdyż, jak sam twierdzi i Metterlicht i Mazagrini repetowali podobno każdą klasę. Przez uniwersytet przejechał się Maniuś z trudnością, ale podobno i Gołuchowski czy Dunajewski też nie zdawali doktoratu *sub auspiciis Juppiteris*. Zostawszy wreszcie adwokatem, pisywał Maniuś codzień liryczne wiersze.

Skutkiem tego wśród Parnasu uchodził za perłę palestry, a śród palestry za perłę Parnasu, co powoli wyrabiało mu nawet pewną klijentelę. Cudzoziemskiej wiedzy nie pragnął, do żadnych Heidelbergów czy Oxfordów nie wyjeżdżał, ale studiował, jak się patrzy, w *Udzialowej Ecole des Sciences Politiques* przy Nowym Świecie. Jako dziecię ludu warszawskiego, zadawał się z radykałją, z judeją i z cyganerją. I tak dożył cnotliwie przy czarnej kawie aż do momentu monumentalnych przewrotów historycznych.

W pamiętnym atoli Listopadzie pożyczył sobie przypadkowo *od któregoś* palestranta udziałowego słynną środkowo-europejską ewangelję Naumana. I odtąd to poczuł w sobie Bożą wolę i wielkie posłannictwo historyczne. I udziałowy Maniuś tak się zapalił do dyplomatycznego kunsztu, że go koledzy z pokątnej *palestry* nieco kpiąco nawet przezwali Naumanusiem. Zerwał za to z *Udziałową* i nawiązał szybko stosunki z galicyjską dyplomacją europejską. Porobił wizyty i stał się wędrownym naumanologiem.

Teraz obraca się *ekskluzywnie* w sferze ziemian i krajowych grabiów. Jako dziecię zdrowego gminu, uczy chorą na koncesjonitis sferę mocnego agresywnego konserwatyzmu. Wśród liberalizującej reakcji jest konsekwentnym i śmiałym wrogiem wszelkich ustępstw na rzecz ulicznego motłochu. Na stołecznym karuzelu politycznym jeździ stale na koniku „siły". Silna władza! W mocne ręce! Żadnych koncesji, żadnych kompromisów z „opinją ulicy". *Musimy się* oduczyć sentymentów. Prasę trzeba trzymać w karbach! Dyplomacja *musi* być i będzie tajną. Żadnego pardonowania.

Takich i tym podobnych zdań jeszcze kilka powtarza Maniuś systematycznie wazem wobec i każdemu z osobna. I *powoli* liczba słuchaczów jego rośnie. Niektórzy, słysząc, jak z rękawa cytuje *Mazagriniego*, nazywają go mężem Opatrznościowym.

Chyba na *kredyt* jeszcze.

Szacunek dla zabytków historycznych nie jest mocną stroną naszej kultury. Na kilka lat przed wojną dopiero wzbudził się ruch pewien w tym kierunku. Zaczęło do życia powoływać rozmaite korporacje ratownicze i ochraniające. Przyszła wojna i zniszczyła sto kilkadziesiąt kościołów, które przetrwały poprzednie „potopy" Szweda i Tatara. Oprócz rzeczy wielkich zniknęły pamiątki małe. Niema już domku Mickiewiczowskiego w Zaosiu, niema już domku w Żelazowoli, gdzie się Chopin urodził. Domek w którym w Krakowie mieszkał Kościuszko, jeszcze znacznie przed wojną zburzyła spekulacja łyków z Nowych Aten, obecnie wznosi się na jego gruzach kamienica dochodowa jakiegoś Peryklesa z tej Abdery.

Ale i u nas na lepszy los chyba zasłużył pewien historyczny „Domek na Rozdrożu". Gdzie? jaki znów „Domek na Rozdrożu? gdzie jakie Rozdroże? zapyta nowoczesny Warszawiak, znający dobrze drogę do rozmaitych domków na rozdrożu w centrum miasta, ale mało troszczący się o los historycznych pamiątek, a cóż dopiero na peryferji śródmieścia. I pijąc białą kawę „cesarzową" czy herbatę z „namiastku" w pewnej nowej mle-

czareńce na rogu Alei Ujazdowskich i ulicy Koszykowej ani przypuszcza gość przygodny, że przebywa wśród ścian, w których niegdyś bywał gościem i ostatni Król polski i jego synowiec.

Demokratyzujemy się bowiem, niema co mówić. W domku, gdzie przemieszkiwała morganatyczna żona Stanisława Augusta, Elżbieta z Szydłowskich Grabowska, dają sobie obecnie rendez-vous przy kwaśnem mleczku panna Pomeranz ze Zbyszkiem Ganzpomader. Tu, gdzie niegdyś książe Józef klęczał u stóp uroczej „Anusi z Powiśla", flirtuje teraz przy dwóch jajkach na miękko pani Benjaminowa z tym „niepoprawnym don Juanem Cohnem", lekkomyślnym jak wszystkie Cohny na wszystkich Cohntynentach świata. Istotnie bowiem w tym pamiątkowym dworeczku, w którym ostatnio za naszej pamięci mieszkał pop z pobliskiej zielonej jak grynszpan cerkiewki, obecnie po wykadzeniu po popach roztansował się mleczarenka. Pozwolimy sobie jednak zapytać Towarzystwo Ochrony zabytków czy nie wypadało by przynajmniej zaprotestować przeciw tak prozaicznie kulinarnemu użyciu tego bądź co bądź także pamiątkowego domeczku? Czy nie można było wogóle na inny cel przeznaczyć „Dworku na Rozdrożu"? nie można już było pomieścić tam jakiejś instytucji kulturalnej czy oświatowej, przenieść tam sklepy sztuki stosowanej czy coś podobnego? Ostatecznie bowiem w tym dworeczku jest też część, cząsteczka naszych dziejów w murach starych zaklęta. Ten dworeczek przypomina nam, że ostatni Król polski musiał mieć taką garsonierę, musiał wejść na takie tory Bur-

bońskie, trywialne romansowe, gdy mu dyplomacja dworów sąsiednich nie pozwoliła na maryaż w obawie ustalenia dziedzictwa tronu. Przypomina potem ten dworek, że była smętna, szara, ciemnotazowa epoka w porozbiorowych dziejach Polski, w której późniejszy bohaterski książę Józef, marszałek Francji! bohater z nad Elstery był tylko rozpustnym księciem Pepi, przebierającym w kochankach jak w rękawiczkach i zakochanym z rozpaczy w prostej szynkareczce z Powiśla. Poświęca temu „cichemu ustroniu“ wiele stronic w „Pamiętnikach Seglasa“ Fryd. Skarbek. Tytus Kraszewski o tym Dworku i jego mieszkańcach napisał całkiem poprawną powieść p. t. „Pomywaczka“. Była to kiedyś oaza rokokowego wykwintu i rokokowej miłości. Kobierce azjatyckie zaścielały posadzki, lampy alabastrowe oświecały ten „Petit Trianon“ królewski, a w tych małych chambrettach schodzili się na reunionach u królewskiej amoureusy uczestnicy czwartkowych obiadów: Bohomolec, Trembecki, komedjopisarz grafoman Bielawski. Wiele bardzo wiele ciekawych szczegółów opowiadają stare pamiętniki o tym „Dworku na Rozdrożu“.

Ale sza o tym wszystkim, nie przypominajmy ich, nie grzebmy w tych szczegółach, szanujmy ich ciszę. Bo zdarzyć się może, że dowiedziawszy się cośkolwiek o tym Dworku, zajdzie tu naszych czasów Bielawski, wypije szklankę maślanki, nabierze natchnienia „i o tem komedję napisze“.

Na zimowy sezon „Dworek na Rozdrożu“. Cztery akty. Kopa spektakli pewna.

—

Koleją faktów a raczej dziwnem zrządzeniem Opatrzności przyszły i na „Laufer papers" żółtą pokątną gazetkę w Arisona w Stanach Zjednoczonych tak zwane „złote czasy". Było to podczas wojny Nowego Świata o zdobycie Kuby, kiedy zwycięstwo przechylało się już na stronę yankesów, a Kubaniarze na łeb i szyję pobici cofnęli się w głąb Kuby. Żyjący jeszcze dzisiaj a wówczas skromny brygadjer Joe Ginell organizował swoje drużyny dojeżdżaczy („rough ridersów"), które miały nieszczęsnym Kubaniarzom jeszcze dolać gorącego sadła za skórę i przyczynić się i z tej strony do doszczętnego wytępienia Kubaniarstwa.

W uroczej ale niezbyt cnotliwej stolicy Stanu „Arisona" burmistrzował wtedy wcale bezecnie i głupowato mr Michels, sprzyjający dość widocznie Kubaniarzom. Ponieważ część obywatelstwa żywiła nadzieję, że Kubaniarze jednak poprawią się, wyprą się swych wad i zbrodniеństw, inaczej przestaną być urodzonymi i nałogowymi Kubaniarzami, no a z czasem się wyniosą precz i część prasy jak „Arisona Guardian", „Two Penny Post",

„Arisona-Telegraph" i inne od czasu do czasu wyrażały się nawet o Kubaniarzach w słowach pewnego spółczucia, jeśli nie sympatji oraz nadziei w moralne odrodzenie (revival) *Kubaniarzy*. Wobec tego i w stosunku do dzikich dojeżdżaczy (rough-ridersów) dzielnego mr. Ginetta zajęto stanowisko raczej chłodne i wyczekujące. Tymczasem na Kubie *zamiast* odrodzenia przyszło owrzodzenie. Wobec tego dni burmistrzowania starego lustyka mr. Peteraa były już obliczone. Nastały nowe wybory. Stronnictwo mr. Michelsa doznało *absolutnej* porażki. Prezydentem został mr. Balsleer, który też pewnego pięknego poranku wprowadził się do Białego Domu w Arisonie.

I oto teraz to właśnie nastały dla „Laufer Papers" z Arisony t. zw. „złote czasy" jak o tem obwieściły *wszem* wobec w naczelnym i bezczelnym artykule wstępnym i występnym. Redakcja Laufer-Papers dostała ni z tąd ni zowąd gremjalnego uderzenia krwi do głowy i zaczęła wprost identyfikować siebie ze zwycięzcami, odniesionymi nad Kubaniarzami. Pokątne przedmiejskie pisemko żółte ni stąd ni z owąd jęło wrzeszczeć, krzyczeć, hałasować, pluć dookoła, machać łapami, podstawiać nogi, wtrącać wszędzie swoje trzy *grosze* czy trzy grajcary, udawać New-York-Heralda i zabierać głos piskliwy w pierwszych kwestjach politycznych. Niemrawi gentelmani, *obskurni* „wydnacze" z Laufer-Papers pierwszy raz w życiu ze względu na „respectability" zdecydowali się wziąć kąpiel w łaźni miejskiej, zakupili łącznie tuzin kołnierzyków z celulojdu, obcięli

paznokcie u rąk i nóg, wytarli nosy, uczesali włosy i zaczęli się zachowywać „gentlemanlike", naśladując do złudzenia znajomych kelnerów z wielkich Barów. Na ulicach równocześnie pojawiły się plakaty wielkości sześciu metrów, wzywające obywateli Stanów Zjedn. bezwarunkowo do prenumeraty „Laufer-Papers", ozdobione rysunkiem kolorowym, przedstawiającym Kubamarza, kradnącego złoty zegarek z kamizelki murzyna. Poczem w myśl zasady, że każda Kunda musi mieć swego Edmunda, a każda banda swego Talleyranda, sprowadzono telegraficznie wprost z Gujany patentowanego i egzaminowanego dyplomatę, znakomitego transformistę politycznego mr Gilberta Fregoli, który przeszedłszy już przez wszystkie stronnictwa i wszystkie redakcje w Kalifornji, w Stanie Teksas i w Gujanie, utrzymywał uporne, że zna osobiście mr. Ginetta, że mr. Ginett dwa razy z nim po 10 minut rozmawiał i że on to właśnie mr. Fregoli, transformista egzaminowany jest mężem zaufania brygadjera Ginetta.

I odtąd to datują się jeszcze ściślej „złote czasy" „Laufer-Papers". Żółte pisemko, dotąd organ podrzędnych „slumsów", golarni, skromnych garkuchni, sklepików spożywczych, organ „bossów" politycznych i chuliganerji zaczęło się uważać za organ wielkich Barów Amerykańskich, za Organ konfederacji Barskiej, za jednem słowem organ barski. Jako takie zaczęło utrzymywać, że ono jedyne ma monopol na miłość Stanu Arsona, na patrjotyzm panamerykański, na stworzenie wielkiej

Independent Party, że ono jedyne reprezentuje wolę narodu, Stanów, chłopów, mieszczan, ludu W napadzie nagłej wielkości, zarobiwszy na czysto 15 dolarów, zaczęto nawet marzyć o kupieniu maszyny rotacyjnej i zwołaniu „masmeetingu" dla sprezentowania mr. Fiegolego, jako „speakera". Dumne, że w swoich spełunkach zwanych przesadnie „saloonami" gości taką międzynarodową znakomitość dyplomatyczną jak mr. Fiegoli, postanowiło w swoje ręce (świeżo wymydlone) wziąć „organizację opinji publicznej w Stanie Ansonia", wyśledzać, wytępiać i publikować wszelkie reszitki jakichkolwiek sympatji dla Kuby i Kubanlarzy", a wreszcie „lynchować bezlitośnie wszystkich przeciwników mr. Ginetta i jego dzielnych dojeżdżaczy (longbinders)

Tymczasem zaś, ponieważ jakichkolwiek resztek sympatji dla notorycznych Kubanlarzy wytropić się i wywęszyć jakoś nie dało, przeto w braku tego rozwieżgane i rozpalone pick-pokety z Hospital-Street tymczasem w wolnych chwilach jęły napadać z browningami na spokojnych przechodniów, śpiących constablów, na spokojnych mieszczan, na starych pastorów i t. p., wszystko niby w imieniu nowej Konfederacji Barów, wszystko niby ku chwale mr. Ginetta, którego porównywano raz po raz z Lincolnem, z Clevelandem, z Franklinem, wreszcie nawet z Washingtonem

I byłyby te złote czasy „Laufer Japers" trwały znacznie dłużej. Już byłby „rodzimy Bykonsfield" mr Fregoli chwycił istotnie w swoje

-dzielne dłonie nalogowego transformisty cugle opinji publicznej i ster polityczny Stanu Arizona. I już miała redakcja stworzyć wielką Bar-Party i założyć wielki Club „Rycerzy Prasy“ i już obiecywały sobie gentlemani z „Laufera“ całożyciowy kredyt w Barach na „ostrygi z kapustą“ i „kufle z szampańskiem“, gdy nagle grom z jasnego nieba uderzył w ten cały gmach z kart mocno fałszywych.

Najniespodziewaniej, w samo południe w dzień świętego Gizberta, patrona wszystkich Fregolich politycznych przyszedł krótki telegram z pola walki tej treści:

„Wypraszam sobie kategorycznie protekcję pick-pocketów z Laufer-Papers. Kula w łeb czeka pismaka, który raz jeszcze moje nazwisko wypisze bez potrzeby.

Brygadjer Ginell

NOWE SALONY.

Przyjemnie jest w tych ciężkich czasach dostać na pięknym welinowym papierze wytwornie wystylizowane zaproszenie na *five o'clock* czy *garden party* do jednej ze staropolskich rodzin, otwierających znów w stolicy swoje gościnne salony. Tym razem zaproszenie podpisane przez p. Abe Gutonjera. Nazwisko skądś mi znane, ale nieznajome. Jakiś proces, jakieś dywany, jakiś hrabia, jakiś student, wszystko jak przez mgłę się już pamięta. W każdym razie jest nowy salon i życie towarzyskie widocznie zaczyna się już ożywiać. "Abe" brzmi omal jak l'abbe, znaczy się któryś z opatów, tytułujący się jeszcze w stylu rokokowym. Jako *labus* uważa za wskazane podtrzymać dawne tradycje Warszawy i otwiera swoje apartamenta także dla reprezentantów intelektualizmu.

Będzie pewnie stary maślacz, mokka, egipskie papierosy i doskonała atmosfera duchowa. Może to będą zebrania jak u księdza Morawskiego w Krakowie, u księdza dziekana Pawlickiego, u kanonika Puszeta, wieczory czwartkowe, „wieczory nad *Lemanem*". L'abbe Gutnajer zaprasza...

Tymczasem zawód i rozczarowanie. Zaproszenie przeczytałem widocznie z roztargnieniem i powierzchownie. Nie jest to salon intelektualistyczny w starym stylu opata de Genlis, ale w całym tego słowa przykrym znaczeniu nowy salon, salon sztuki kunsthändlerei.

Wobec tego zaproszenie rzuca się do kosza. Nadzieja na mokkę kaoomiczną upada. Przy tej sposobności złoli i refleksje budzą się bardzo smętne. Coraz więcej tego rodzaju saloonów otwiera w Warszawie swe gościnne podwoje. Widocznie sprzedaż kobierców dla umeblowanych pokoi jest interesem pierwszej klasy.

Niema już śladu z salonu Krywulłów, który takie zasługi położył dla rozwoju życia artystycznego. Zamknął swoją budę przy Nowym Świecie staruszek Wołowski, gentleman, exparyżanin. Zato otwierają przy Mazowieckiej salon ekspresyonistów p. Mortkowicz i Abe Gutnayer przy Saskim Placu „nowy salon" polskiej sztuki. A w jakim stylu gospodarz, w takim i goście zapewne. Przypatrzmyż się jak wyglądają teraz inne nowe salony publiczne warszawskie. Jakżesz zmienił w przeciągu trzech lat swą fizyognomię „letni salon" Warszawy Bagatela. Jak to znikła wytworna publiczność, która dawniej zapełniała ten miły ogródek przed pałacykiem Bacciarellich. A jakie to maniery nalawkowskie panują tam teraz. A co się to zrobiło z muzycznego salonu dawnej Warszawy z Filharmonji? Jak wyglądała dawna socjeta na koncertach symfonicznych i kameralnych, a co zbiera się w tym salonie teraz na szabasach Bethovenoskich.

Zaiste, bardzo szybkim tempem zbliżamy się do tej nowej Warszawy, jaką wywróżył J U Niemcewicz w swoim jasnowidzącym „Moszkopolis". Pożyczcie sobie tę książeczkę i czytajcie! A potem weźcie do ręki pamiętniki o dawnej Warszawie J K. Wojcickiego, wspomnienia Deotymy Pługa, pani Kalergis-Muchanów, Walerji Marrene-Morzkowskiej, baronowej X (Zaleskiego), Pułkozica-Niwiarowskiego, Wilkońskiego Potem przypomnijcie sobie Warszawę z Prusa „Lalki" i z Sienkiewicza „Połanieckich" i „Bez dogmatu" Potem tę przejściową z powieści Gawalewicza i Konata Warszawę mechesów i panien Malinowskich potem tę z powieści Żeromskiego i Berenta Za czasów Deotymy i Prusa, Sienkiewicza i Świętochowskiego było to stanowczo polskie miasto i Polski duchowej stolica Czy będzie nią i w bliższej przyszłości to wielka kwestja „I to pitanie" jakby powiedział zapewne gospodarz nowego salonu l'abbé Gutnajer.

—

DYMEK Z PAPIEROSA

Ciężkie czasy przyszły na ludzi ochłogowo a łatwo i przy każdej sposobności odurzających się. Dwa lata temu miało się jeszcze pod dostatkiem zapasów dawnych papierosów, a nadto z centralnej Europy przybywały wielkie paki z wszelkiemi gatunkami świetnych cygar. W błękitno-popielatym dymie w wonnych i aromatycznych obłoczkach cały świat wydawał się bardzo piękny a przyszłość zapowiadała się różowo i wonno. Niejeden obywatel wkładając w usta potężnego „Henry Claya", równocześnie jakby nawdziewał na nos różowe okulary i z sceptycznego pesymisty zmieniał się szybko w pełnego wigoru i ruchliwości działacza i wszędobylskiego. Optymizm rósł w miarę konsumpcji nikotyny z szlachetnego a stosunkowo taniego gatunku cygar. Niejeden niewierny Szaweł stawał się wierzącym na ślepo Pawłem pod wpływem w odpowiednim momencie zaofiarowanego mu picadoresa czy holendra. Na seansach i konwentyklach politycznych postacie przyszłych radców, prezydentów, deputatów i delegatów tonęły wprost w obłokach dymów przesłaniających rozanamiętniającym się palaczom szorstkie kontury twardej rzeczywistości. Pod czaro-

dzisiejszym działaniem nikotyny ten i ów jegomość widział siebie już „naszym ambasadorem przy księstwie Monaco", lub ministrem choćby bez teki, ten i ów nawet admirałem w państwie „od morza do może". I nie można się dziwić temu polotowi imaginacji u jednostek o nawet słabo rozwiniętej wyobraźni, skoro się zważy, że wówczas paliliśmy, bądź co bądź autentyczny tytuń, liść świetnie cięty, doskonale preparowany, ładnie zwijany, w wytwornych pudełkach sprzedawany.

O qualis mutatio rerum od onego czasu. Dziś trzebaby chyba być zaproszonym na imieniny do bardzo nieprzeciętnego paskarza, aby znowu raz w życiu obaczyć jak wygląda normalne cygaro z paskiem na brzuszku. Nawet bardzo namiętni książęta palą dziś namiętnie bardzo pospolite falsyfikaty. Nawet bardzo wytworne prałaty muszą się kontentować czymś, o czem się nie nie mówi, bo czymś, co wcale nie pachnie. Tytoń prawdziwy jest anomalją. Powinni go już sprzedawać w aptekach lub u Manktelewiczów. Na tytoń, którym my zasmradzamy bezkarnie gniazda rodzinne i ogrody publiczne składają się znane botanikom *melitolus officinalis, tussilago farfara, plantago germanica silvia glutinosa*. Co wykwintniejsi palą liście malwy, misternie kombinowane z liściami orzecha. Elita pali papierosy, w których jest 85 proc. liści bukowych. Złośliwi twierdzą, że wnet zacznie się wypalać stare słomianki ze szpitali i sienniki z kasarń.

W każdym jednak razie nikt się już ni papierosami, ni cygarami nie odurza, nikt już dzisiaj nie

cierpi na zawrót głowy W tych warunkach staje się wprost szczytem imaginacji paląc cygaro z r. 1917, zachorować np. na zatrucie nikotyną.

I tak jest dobrze. I to trzeba zapisać, wychodząc ze stanowiska hygieny rasowej, jako wielki plus. Niemożność odymiania i odurzania się wyjdzie nam tylko na zdrowie. Dr Molenaar z Darmstadtu stwierdził istnienie 7% chorób, wywodzących się z nadużywania nikotyny, serce, nerki, wątroba, żołądek, ogólny nerwostan cierpią głównie z powodu systematycznego uwędzania ich oparami tabakku.

Szczep ludzki, który pierwszy wynalazł otumanianie się tytuniem t. j. Indjanie czerwonoskórzy, z tego powodu przepadli. Jest teorja naukowa, która nadużywaniu tytoniu przypisuje dekadencję Hiszpanów, Turków, Egipcjan, Japonja urzędowo zabroniła palenie tytoniu młodzieży poniżej lat dwudziestu. Marny los czerwonoskórców powinien nas zatem odstraszyć. Oszczędzajmy nasze tasy bukowe nie kupujmy cygar hawańskich! Nie odurzajmy się ersatzami!

Nie przesładzajmy sobie rzeczywistości „dymkiem z papierosa" w którym jest tylko tussilago farfara i plantago germanica.

Znacie kochani czytelnicy zapewne popularną postać naszego przesympatycznego super reportera Wodzisława Bezmydlańskiego? Któżby go nie znał. Znają go wszystkie redakcje, znają wszystkie instytucje miejskie, kuloary teatrów, bufety restauracyjne, kulisy baletowe, znają wszystkie gabinety, dyrektorów bankowych, kancelarje cyrkułowe, towarzystwa pożyczkowo-agresowe, wszystkie kluby polityczne, wszystkie przedpokoje arystokracji i klatki schodowe plutokracji. Uniwersalizm Wodzisława Bezmydlańskiego podziwiają wszyscy i wszyscy korzą się przed tym tytanicznym móżdżkiem, który wszelkie światy wiedzy pochłonął, wszystko poznał, wszystko wie, o wszystkiem tysiąc ośmset wierszy stante pedante w mig zdolen jest odwalić. Dziś rżnie pracę o filozofji neoscholastycznej, jutro wypisuje reklamę fabryce nawozów sztucznych, wczoraj jeszcze pouczał rzesze o neokonserwatyzmie angielskim i dziś już trzepnął broszurę o „konieczności hodowli królików", jutro zacznie serję artykułów o „krematorjach w Brazylji", a pojutrze gotów siąść do studjum o „najnowszych prądach i trądach w liryce prewansalskiej", co mu oczywiście nie przeszkadza

np w Towarzystwie „Psychologji Patologicznej" mieć konferencję o „psychoanalizie Freuda" o godzinie 8-ej, a o godzinie 10-ej tegoż dnia w klubie pracy spółczesnej czytać referat p. t. „próba statystyki prostytucji meldowanej w gminie Grochów".

Wszyscy znamy i podziwiamy Wodzisława Beznydlańskiego. Wszyscy znamy też jego trzy maszyny do pisania, z których jedną zawsze nosi ze sobą w skórzanym futerale, by ją pospiesznie otwierać, rozstawiać i „zaprzęgać" do pisania czy to w redakcji, czy w tramwaju, czy to na podwórzu straży ogniowej, czy w sieni ratuszowej, czy też w Towarzystwie Psychologji Patologicznej lub w klatce schodowej, któregoś z domów arystokratycznych lub plutokratycznych. Wszyscy też znaliśmy i podziwiali w nim prócz wiedzy cyklopicznej jeszcze przymioty jego charakteru i światopoglądu, jego układność, elastyczność, jego szacunek dla wszelakich władz, jego tolerancję dla każdego administracyjnego porządku, jego ciągłe nieustanne i niezmrożone próby zadzierżgnięcia nici sympatji między „narodem Kanta i Szyllera a „wdzięczną Polską"... jego zachwycającą ustępliwość na wszelkich polach i miękką słowiańską ugodność, co wszystko zyskało Beznydlańskiemu w kołach przychylnych mu nome de guerre: Vaselin Glycerynowicz!

Otóż wyobraźcie sobie czytelnicy moje zdziwienie, kiedy tego to jegomościa całkowicie w przekonaniach politycznych białego a raczej szarego czy pstrego, zobaczyłem w tych czasach ciemnych

pewnego dnia jasnego na Placu Czerwonym spoconego, zziajanego, z czerwonemi wypiekami na twarzy, wywijającego czerwoną liliacową chustką, którą gwałtownie pot obcierał z zaczerwienionego czoła. Biegł chudzielec naprzeciw mnie na swych cienkich odnóżach dolnych gestykulując żwawo z tajemniczą miną. Uchyliłem kapelusza jako należy przed kolegą, który ma „stylową" willę w Skolimówku, był przez ćwierć wieku słupem betonowym ugodowej reporterji a przy domeczku zyskał sobie i przydomek Glyceriu Vaselinowicz

A dzień dobry panu, panie Skorpion! Dzień dobry. Dobrze, że pana spotykam. Właśnie wracam od brygadjera! od samego brygadjera. Byłem u niego w hotelu całą godzinę! Nieprzyjął mnie coprawda, ale rozmówiłem się z otaczającymi go... Ale panie, co to za człowiek! To nasz człowiek! To człowiek z bronzu! z jednej bryły! Zrobiłem z miejsca interview z portjerem z chłopcem od windy i z dzierżawcą hotelu, będzie tego z tysiąc dziewięćset wierszy! autentycznego entuzjazmu! Byle mnie jaka szelma nie ubiegła! byle nie ubiegła... Nie śmiej się pan i nie miej tej cynicznie szyderczej twarzy. Czasy się zmieniają i my się zmieniać musimy! Ja sobie np sprowadzam nowego „underwuda" z Brunszwiku, jest o 60 procent tańszy od amerykańskich. Moskaliska to łotry panie. Wiesz pan co mnie zrobili np. Wtargnęli do mojego mieszkania łotry, zarekwirowali dwie nowiuteńkie maszyny i zrzucili je z okien pierwszego piętra na dół tak, że strzaskane i nie do użytku. I tych ludzi 25 lat się broniło! I z ty-

mi ludzmi ja miałem tysiąc sześćset interwiewów! Ale teraz to co innego! Właśnie byłem u brygadjera! W pierwszej chwili nie chciał mnie przyjąć, ba nawet kazał mnie wprost ze schodów zrzucić... Cokolwiek zdaje się nam nie ufa... Ale jam cierpliwy! jam do tego „zwyczajny“... Przetrwałem i wreszcie pozwolono mi rozmówić się z dzierżawcą hotelu... Poprostu odżyłem panie drogi... Skąpałem się w czystej krynicy ideowej... Czuję głęboko, że druga młodość mi wraca, że jakaś skorupa brzydka i plugawa opada mi z duszy panie drogi. Ach, byle tylko papieru nie zabrakło w Warszawie, byle papieru i oliwy do czyszczenia mojego „Underwooda“. Tak panie! Ja zawsze byłem indenpendantem, co więcej, ja byłem irredentystą! ja czuję się Piemontczykiem w każdym celu... w każdej fibrze... w każdej kropli krwi! Chodź pan ze mną do sklepu na rogu. Chcę sobie kupić albo konfederatkę albo maciejówkę ale w każdem razie coś w tym guście. Cylinder muszę dać do przeprasowania, bo teraz będzie wiele wizyt oficjalnych i nowych interwiewów. Trzeba się prezentować jeżeli nie po zachodnio-europejsku, to przynajmniej po centralno-europejsku. Tak panie, tak... Ja żyję, oddycham, płonę! cała moja dusza buntownika, dusza rewolucjonisty, dusza insurgenta, dusza nałogowego rebelianta rozchyla się, rośnie, pęcznieje... Byle tylko jeszcze inni „Galicjanie“ zaczęli przyjeżdżać, żeby było z kim pogadać, kogoś pointerpelować, pointerwiewować, to jeszcze będzie można wytrzymać i z tysiąc sześćset dziennie wywalić... ! Ojczyzna będzie, panie dro-

gil będzie! bądź pan cierpliwy! Tylko trzeba mieć zapał, ogień święty, feu sacre, elan vital to jest pardon... feuer, courage! entuzjazm! młodości. I nie taką smutną i starczo-szyderczą minę, jak pan! Sursum corda... I trzeba być intransigeantem, koniecznie intransigeantem, przynajmniej w tem, co się pisze... To modne będzie teraz! to będzie „szło"... młody człowieku! I w to trzeba niezłomnie wierzyć i to mieć w duszy, we krwi, w instynkcie! to trzeba odziedziczyć po ojcach — po dziadach... Tę wolę do wolności, jak mówi mój kochany Shopenhauer: Wille zur Macht! Liebe zur Macht... Bo ludzie w atmosferze niewoli gniją, rozkładają się, robaczeją, pęchnieją, korrumpują się do szpiku kości panie drogi — I przez tę kąpiel kryniczną słonecznej wolności — każdy z nas przejść powinien, aby się odrodzić, oczyścić, rozrość, rozpostrzeć skrzydła do lotu podniebnego, dotrzeć do ideału, do czystej idei, do Ding an sich, do niepodległości Mitteleuropy... o!...

I tak jeszcze pięknie mówił dobry kwadrans Wodzisław Bezmydliński na historycznym Placu Czerwonym, cały czerwony, zziajany, ognisty i płomienisty! I byłby jeszcze tak mówił dalej dobre pół godziny, gdyby nie przejeżdżał właśnie obok nas powóz byłego dyrektora byłego Banku Krasnoulimskiego, pana Cohna. To dopiero przypomniało szlachetnemu a debiutującemu idealiście jakiś poziomy postulat codziennej rzeczywistości. Kłaniając się głęboko znakomitemu finansiście jednym radykalnym ruchem czerwonej chustki zatrzymał stangreta i szybko a z gracją jakby zawodowego linoskoka wskoczył do powozu.

Stałem jeszcze chwilę na trotuarze Czerwonego Placu blady, oszołomiony, ogłuszony, przybity, zawstydzony i stratowany. Dawno już dawno nic mi tak nie zaimponowało, jak ta czarodziejska przemiana w kolporterskiej bądź co bądź duszy Wodzisława Beznydłańskiego. Jakiż silny dopiero promień „wschodzącego słońca" oczyścił tę czasem nawet niezbyt wonną sadzawkę tęchnącej, zepsutej wazeliny! Jakiż przewrót przewspaniały dokonał się w tej par excellence kompromisowej, ugodowej, ultra-asymilacyjnej naturze najgenialniejszego z najużyteczniejszych grafomanów warszawskich! Jakież czasy piękne nastały, które nałogowych konfidentów każdej okkupacji zdolne są przekształcać w bohaterów podziemnych powieści, w patentowanych sympatyków cytadelicznych Kalwarji, w apostołów ludowej republiki „od morza do morza". Gdzież jest zagadka, gdzie tajemnica tak pięknej, tak strzelistej metamorfozy?

I byłbym tak rozmyślał nad rozwiązaniem tego problemu psychologicznego jeszcze z dobre pół godziny, to z bezbrzeżnym podziwem, to z otchłanną odrazą do tego dzisiejszego pokumania najskrytszego, najutajeńszego, najczystszego, jedynego ideału, jedynego marzenia, jedynego celu życia! pokumania z tak bardzo miałkim dranińszką jak Beznydłański. Byłbym tak stał jeszcze długo blady ze wzruszenia na tym Czerwonym Placu, zastanawiając się nad tem, czy jest możliwością psychiczną stop orlich idei z żabim skrzekiem.

Byłbym tak nad rozwikłaniem tego problemu męczył się, kołując myślami bez celu, gdyby właśnie naprzeciw mnie nie szła teraz przesympatyczna, aloh mocno już podstarzała, acz zawsze jeszcze szykowna Andzia Kapuśniak, ongiś zwana Wazelioką. Tym razem była ciemno ubrana w modnie skrojonym, ale jakby żałobnym, krepami ugarnirowanym, skromnym kostjumie. Po figurze nikt by nie odgadł, że dochodziła już do pięćdziesiątej wiosny. W rączce trzymała — książeczkę — do nabożeństwa ze złotymi literami. W przechodzie mogłem odczytać dokładnie: „Złoty Ołtarzyk“.

Andzia Wazelinka ze Złotym Ołtarzykiem! Wazelin Glicerynowicz Bezmydlanskij u brygadjera!

FRAKCJA JECHALSKICH.

Niepostrzeżenie się odrazu silnie z pośrodka dwóch tuzinów naszych partji politycznych na pierwsze miejsce wysforowała się ostatnimi czasy zwarta i mocna frakcja Jechalskich. Jechalże cię sęk, powie na to niejeden czytelnik, skąd ten wydobył znowu jakąś frakcję Jechalskich! Gdzie kto słyszał o takich? Chyba-li konspiracja nie daj Boże! Co za Jechalscy znowuż? Dowcip, czy co u djaska!

Nie, nie dowcip, a prawda oczywista. Sam początkowo skąpe miałem informacje o nowej grupie i jej „poczynaniach". Słysząc atoli raz po raz a to, że Jechalscy postanowili to a to, a to że Jechalscy odbyli konferencję z premjerem, a to, że Jechalscy organizują wiec pod gołem niebem na gołem polu, a to, że wybierają się znów w drogę, a to, że wracają znów z dworca kolejowego i t. p., nie mając zaś równocześnie żadnych konkretniejszych danych o tej nowej przepotężnej grupie, która decyduje się każdej chwili „ująć ster wypadków w swoje ręce" i „zaważyć decydująco na szali losów narodu", postanowiłem się zwrócić do znanego mi „wzmiankacza politycznego" i prosić go uprzejmie o garść informacji z pierwszego źródła.

Oczywiście, czytelnik przeciętnik zaintrygowany jest zapewne, kto zacz wzmiankarz polityczny? Otóż jak dawniej istniała przepotężna branża wzmiankarzy teatralnych, rządzących absolutystycznie warszawskiem życiem teatralnem, stwarzająca „walory" na giełdzie teatralnej, tak obecnie wzrasta w oczach naszych potężny proceder codziennego wzmiankarstwa politycznego, regulującego walory na giełdzie żywota publicznego.

Osobnik, do którego się zwróciłem, nosi przedewszystkiem monokl, co indywidualność jego wyróżnia w tłumie bezmonokli i mimowoli budzi, jeżeli już nie poważanie, to w każdym razie zaintrygowanie.

Ponieważ młodzieniec ów darzy mnie specjalnem zaufaniem, skorzystałem ze sposobności i widząc, że zeskakuje z tramwaju, w którym zwywiadował właśnie leadera klubu „niezawisłych realistów", kiwnąłem nań palcem i kiedy doskoczył, zainterpelowałem wprost z miejsca.

— Kochany człowieku, co to właściwie frakcja Jechalskich?

— Jechalscy? Jechalscy. Zaraz panu objaśnię szczegółowo. Właśnie wracam z lokalu Rozbudowy, gdzie odbyło się posiedzenie plenarne wydziału wykonawczego nowej frakcji. Jutro wyczyta pan o tem dokładną relację w naszym „Codziennym Aktywiście", gdyż prawdopodobnie „Codzienny Aktywista" zostanie urzędowym organem wszystkich Jechalskich, to znaczy więc wonitorem.

Jechalscy, proszę pana, jest to platforma, mająca bezwzględnie najwięcej widoków przyszłości

W naszych czasach pewnych dość dokuczliwych ograniczeń i utrudnień w lokomocji Jechalscy starają się właśnie dużo jeździć, ergo są stronnictwem najbardziej ruchliwem, najbardziej czynnem, najistotniej żywotnem. Wobec podrożenia biletów kolejowych, Jechalscy z konieczności ograniczyli cele swoich wyjazdów i najchętniej i najczęściej jeżdżą do Cekrakowa. Stały kontakt z tym grodem Piastów, Popielów i innych zuchów krowoderskich nadaje im siły moralnej i wzmacnia ich „płaszczyznę ideową". Z częstego jeżdżenia Jechalskich do Pokrakowa wynika zbieżność w szeregu punktów z wybitnymi jednostkami politycznych ugrupowań podwawelskich, tak że doszło już do całkowitego ujednostajnienia zapatrywań na tok spraw bieżących i ogólnego sfinalizowania a raczej skonkretyzowania postulatów ogólnych. Jakkolwiek istnieje jeszcze pewna rozbieżność w nic nie znaczących zresztą i drugoplanowych dyrektywach tak ogólno narodowych, jak i szczególnie w zasadniczych kwestjach bieżących, rozbieżność nie wykluczająca atoli możliwości kompromisu na całej linji, albo też tylko na płaszczyźnie kwestji palących i domagających się natychmiastowego uzgodnienia żywiołów zbieżnych z faktami, nie cierpiącymi zwłoki.

— Kochany panie, do krocset djabłów, co to są właściwie Jechalscy — pytam pana, kto za nimi stoi? Co dotychczas zrobili? Jak się wabią? Z czego to się rekrutuje? a pan mi tu...

— Jechalscy? Jechalscy! Alez z największą chęcią objaśnię pana. Otóż Jechalscy jest to frakcja eklektyczna, nie ograniczająca się pętami zad-

nych sformułowań. Kto tylko lubi jeździć szczególnie do Pokrakowa, tej chwilowej bądź co bądź stolicy wytrawnej, trzeźwej, realnej, że tak powiem—dyrektywy, albo doktryny politycznej, jak pan chce—to jest w frakcji Jeutalskich witany z otwartymi rękoma. Dlatego należą tu, jak dzisiaj rzeczy stoją, wszyscy byli członkowie byłych ugrupowań dochodzący do porozumienia na gruncie aprobaty dotychczasowych poczynań i nie przyśpieszania formalnych rezultatów którcby ograniczyły swobodną inicjatywę jednostek a nie doprowadziły do dokładnego sformułowania oferty, z jaką czynniki miarodawcze mogłyby się zwrócić do kompetentnych sfer w razie, gdyby okoliczności złożyły się w sposób, wykluczający wszelkie zboczenia, choćby lekkie, w kierunku orjentacji wprost przeciwnej w razie konieczności przewartościowania wszelkich rozbieżności aktualnych wobec ogólnej sytuacji, domagającej się niezwykłej czujności naszych czynników odpowiedzialnych ale nie angażujących się w stronę żadnej linji wytycznej, dyktowanej czy to względami natury czysto opportunistycznej, czy to koniecznościami chwili bieżącej, albo też presją opinji publicznej, jak zawsze nie zdającej sobie sprawy z tego że rokowania, aczkolwiek nie doprowadziły do formalnego rezultatu i utknęły na martwym punkcie, to jednakże są w tym stadjum, które pozwoliłoby ewentualnie przynajmniej pod względem faktycznym uzgodnić linję warszawską z płaszczyzną krakowskich sfer odpowiedzialnych, zwłaszcza pod wpływem druzgocąco przekonywującej argumentacji czołowych leaderów z Ligi

Ziem Południowych. Rozpuszczane w ostatnich czasach pogłoski o jakiemś grożącem przesileniu u Jechalskich i zwrocie pewnej części na lewo, pewnej zaś na prawo są najstanowczej plotką, obliczoną na krótką metę, wprost przeciwnie w kontakt stały z frakcją weszły w ostatnich czasach Klub Niezawisłych Realistów, „Liga Dam“ oraz Koło Umiarkowanej Inteligencji. Jeżeli między frakcją Jechalskich a K. U. I. dojdzie do kompromisu, co jest więcej niż prawdopodobne w obecnej konjukturze, to wtedy Jechalscy, jak to się mówi w Warszawie, gotowi są jechać na całego. Dyskretnie mogę panu powiedzieć jeszcze, że w tych dniach spodziewany jest przyjazd trzech polskich ekscelencji z Cekrakowa i to takich, które tu jeszcze nigdy nie bywały. Wizyta galicyjskich Jechalskich podeprze moralną platformę i świadomość państwowotwórczą naszych Jechalskich. W przyszłą niedzielę urządzamy w jednej z centralnie ogrzewanych sal wiec pod hasłem umiarkowanej ugody z naszymi przyjaciółmi, wiec na którym sprezentujemy na estradzie trzy żywe ekscelencje. Zobaczymy wtedy, kto górą! Cała bowiem sztuka, proszę pana, leży na tem, jak pogodzić skórę z batem. Jechalscy to umieją. Do Jechalskich, panie, należy przyszłość!

Może tak, może nie, może od może do może.

—

Tak architekci, jak majstrzy i podmajstrzy zajęci przy stawianiu nowego gmachu muszą bardzo pilnie baczyć na to, aby w materjał budowlany, służący do stawiania „zrębów" tego gmachu, nie zakradł się i nie rozmnożył zbytnio „skorek" pewien, szkodnik drzewo toczący, którego nazywiemy sobie krótko jadczykiem. Świeże a w pewnej mierze fatalnie skandaliczne odkrycia jadczyka w zrębach i belkach ministerstwa „ochrony społecznej, zdrowia publicznego oraz opieki pracy" stwierdza niezbicie, do jakiej to zuchwałości dochodzą jadczyki, rzucające się nawet na budulec przeznaczony dla instytucji „ochrony pracy", „zdrowia publicznego", „opieki publicznej". Jest to jak się domyślamy z tego przykładu chyba najśmielszy i najszkodliwszy gatunek jadczyków, który tylko dzięki swej niezgrabności i równocześnie bezczelności łatwo dał się wyśledzić.

Rozmaite atoli bywają gatunki jadczyków, nad którymi nasi majstrzy i podmajstrzy winni specjalnie baczną roztoczyć kontrolę już przy ciosaniu belek do zrębów i ustawianiu rusztowania. Owad ten pasożytniczy zakrada się do nas często

z Galilei i odrazu przy przyjającej atmosferze pojawia się w większej ilości. Rozplenił się szczególnie w pewnej rodzimej oranżerji na czarnych i żółtych łopuchach z gatunku, zwanego przez ogrodników enkamitus vulgaris. Przyrodnicy odróżniają wśród jadczyków rozmaite gatunki i podgatunki. Jadczyk który wiercił w ministerjum zdrowia, należy do gatunku cynicznie drapieżnych (criminalia). Odmiana ta w Warszawie pojawiła się dotychczas szczęśliwie tylko w jednym egzemplarzu, na prowincji w różnych małych miasteczkach i siołach nie występuje już sporadycznie, ale grasuje nagminnie i gdzieniegdzie dotkliwie daje się we znaki.

Okaz warszawski, jako drapieżca rzucał się na bandaże, farluchy, prześcieradła, ręczniki i namioty, ofiarowane ministerjum ochrony pracy (a nie ochrony jadczyków) przez dowództwo I korpusu armji polskiej.

Niedrapieżne odmiany jadczyków karmią się tylko papierem i markami, a w swej węższej ojczyźnie „koronami". Tak stoli arkuszów papieru jak i marek konsumują jadczyki stosunkowo bardzo wielkie ilości, nie dając wzamian zato nic lub lub bardzo mało. Aby być bliżej papieru i marek, trzymają się głównie rozmaitych kancelarji, biur i nowo instalowanych urzędów. Do kancelarji tych wciskają się drzwiami, oknami, szparami i przez protekcję, za jednym jadczykiem, wchodzi szybko drugi, trzeci i ani się spostrzedz jak w papierach kancelaryjnych grzebie się już moc tych robaczków. Jadczyk zwyczajny (officinalis, lodo-

meticus) jest insektem zwinnym, łagodnym, układnym, sprytnym, sympatycznym i stosunkowo nieszkodliwym, o ile jest izolowanym i nie występuje w nadmiernej ilości. Obrobi sobie swoje „kawałki" i fascykuły, zgarnia sobie mareczki i ma tylko ambicję uchodzenia nie za insekt, a za grzybek państwowości, drożdż państwowości, komórkę państwowości. W tym charakterze nie jest ani zbyt niezbędnym ani zbyt szkodliwym. Trzeba się pogodzić z tym faktem, że w drzewie, w belkach, w deskach, wiązadłach przyszłego gmachu będzie tkwił i siedział. Chodzi tylko o to, aby zapobiedz grożącemu rozmnożeniu i rozpanoszeniu zwyczajnych jadczyków. Niebezpiecznym atoli staje się ten owad, jeżeli dochodzi do rozmiarów np. chrabąszcza posłusznika (mentor subordinationis) lub rozmiarów krakowskiego „czasownika" (scriba servitis) zwanego tak z tego powodu, że szczególnie masowo wylęga się w redakcji i archiwach krakowskiego „Czasu".

Jeszcze niebezpieczniejszy jest podgatunek jadczyków należących do gatunku „castratus", nie zadawalniających się już papierami kancelaryjnymi i biurowymi, ale czepiających się voluminów legum, aktów międzynarodowych, papierów dyplomatycznych. Te małe wkrętki z charakterystycznymi krzywymi noskami, gęstym uwłosieniem i kabłąkowatemi odnóżami, bardzo ruchliwe, obrotne, nahalne, nie tykają już ani bandażów, ani prześcieradeł i fartuchów, jak zbiegły jadczyk z ministerjum „ochrony społecznej", ale gryzą dokumenty i pergaminy, w których spodziewają się

wiele tłuszczu. Niektórzy przyrodnicy (i to bardzo poważni) uważają gatunek „jadczykus assimilis" za znacznie szkodliwszy i niebezpieczniejszy nawet od zbiegłego amatora prześcieradeł i okazu: „jadczykus criminalis" lub jadczyka gatunku „lodomericus"

Ulubionym tematem rozmowy pana Stanisława Kostki Pomeranca, (kandydata na referenta dla spraw żydowskich przy przyszłym wojewodzie częstochowskim) jest od dłuższego już czasu „pianino Grzeli“. Pan Pomeranc bowiem poznał pewnego Grzelę, kmiotka, posiedziciela wiejskiej kilkumorgowej nieruchomości w Gęsim Dole na Jelnisku, gdzie spoczywa na łonie natury pani Pomeranc, zwana przezeń poufnie „naszą grubą Bertą“. Dzięki tej zresztą całkiem przypadkowej ale już ponoć zażyłej znajomości zwozi p. Stanisław Kostka co tydzień po odwiedzeniu małżonki na Jelnisku, sporą garść rewelacyjnych wiadomości o niebywałym, niesłychanym, niemożliwym wzroście bogactwa i dobrobytu u „naszego chłopstwa“. Niech tylko wysiądzie p. Pomeranc z komiwarskiego poniedziałkowego expresu Gęsi-Dół—Praga, w te pędy leci wprost do swojej kompanji semitów od Sema do Nlego i tam w sposób barwny i cokolwiek koloryzujący opowiada, co też to wszystko nie skupuje sobie teraz po wsiach zbogacone chłopstwo.

A to, że pewna Magda, znajoma Grzeli, doi krowy w jedwabnych pończochach on i

A to, że pewna Agnieszka nosi sznurówkę „z tyłem na froncie“ A to, że dwie córki pewnego karbowego bywają dwa razy na miesiąc w Warszawie po sprawunki u Herzego. A to, że chłopi w okolicy „koszą zboże“ i „młócą fasolę“ w lakierkach na nogach A to, że pewien parobek, Bartek z imienia chodzi po domu w smokingu na jedwabnej podszewce A to, że organista, niejaki Miętus sprowadził sobie perski dywan i rozłożył go „w sient w stodole“ A to, że pastuch pewien, co Wicek się wabi, pasie gęsi w nowiutkim cylindrze Habiga na głowie A to, że znowu mleczarka Klimczakowa targuje się od miesiąca o arcydzieło Żmurki „Perła haremu w wannie“ i już daje na stół dwadzieścia tysięcy marek bares „Mój Orzeła zaś, imaginujcie sobie mości panowie“ opowiada Stanisław Kostka Pomerane do kibiców, otaczających jego stół u Sema de Niego, to on potrzebuje sobie teraz zafundować ni mniej ni więcej tylko pianiiool pia-ni-no... !

— Co jest pańskiemu Orzeli po pianinie? panie podwojewodo? pyta zawsze dowcipny Salo Szenwic, dentysta

— Pitaj się pan mojego Orzeli, to on panu może co powie, co on z pianinem zrobi- Ja wiem tylko co on sam nie gra- Pewnie on będzie zapraszał Melcera na niedzielę coby mu grał Stać go na to Ich wogóle stać na wszystko Chłopi mają teraz pieniędzy, jak po pas To nie co my!“ — Tak zwykle zaczyna się od początku „bajc“ o Krezusach z Gęsiego Dołu, o nababach z pod Urli i Otwocka, o rolszyldach z pod Garwolina, o ro-

kelelerach z pod Grójca. I opowiada tak pan Pomeranc o tych „paskarzach wiejskich swoim kibicom od maja. Opowiada przez czerwiec i lipiec. Ile razy wraca Pomeranc z Gęsiego Dołu, pierwsze zaraz pytanie jakie mu zadają Semici od Sema do Niego

— A co tam pański Grzela? Pianino już kupił?

— Kupić to on jeszcze nie kupił, ale on chce kupić. A jego stać na to. Oni teraz te chłopy mają pieniądze po sam pasek. Nie wiedzą już formalnie co oni ze złotem mają porobić. To nie to co my.

Upływa już trzeci miesiąc od czasu jak pan Stanisław Kostka zapoznał swe środowisko z sytuacją finansową Grzeli i Grzelów. Pani Berta, choć gruba tyje w Gęsim Dole na gęsim szmalcu, co się wiezie. Kandydat na referenta przy wojewodzie częstochowskim jeździł kominiarskim pociągiem co tydzień jak przystało. Przez resztę tygodnia, to on „bawi" w Warszawie i bawi się jak wszyscy jego bliscy handlem rubiami i paseczkiem.

Trzy dni temu miałem osobisty interes do p. Stanisława. O protekcję. W razie, jeżeli jako notoryczny i nałogowy asymilator zostanie na pewno referentem wojewódzkim do spraw żydowskich w Częstochowie, aby mnie wówczas zaprotegował na kancelistę. Umię pisać czytelnie, nadto jeden z moich pradziadów po kądzieli był częstochowskim kasztelanem czy też podsędkiem. Więc może i z tej racji miałbym alut do nominacji na kancelistę.

Wybrałem się tedy do Pomeranca w południe, w poniedziałek. Ulica Berka Joselowicza, dawniej

Sokratesa Starynkiewicza nr 44, 3 piętro, front. Dzwonię. Otwiera słowianka, ubrana pięknie w łowicki strój ludowy.

— Pomeranc, pardon, pan Pomeranc jest?

— Nie. Pana niema — proszę pana. Wczora z wieczora pana areštowali milicaje. Ale pan wnet wróci, bo to tylko za pasek. Już trzeci raz tak się pana czepiają. Ale jak pan ma jaki interes do pana, to niech pan napisze. Pan tak kazał coby wspólników pana wpuszczać. Bloczek przygotowany. Proszę. Do szalonu.

Wszedłem nieśmiało. Salon o trzech, czterech, oknach, biały, *first class*. Łowiczanka za mną. Rozglądam się dokoła, wraz olśniony, oczarowany przepychem, pięknem, czystością stylu. Coś tak archaicznie staropolskiego nie zdarzyło mi się jeszcze widzieć. Ni to Balice Radziwiłłów, ni Siele Czartoryskich ni to Rydzyna Sułkowskich. Biały dworek. Fredrowski dworek w każdym calu, w każdym detalu. Łowiczanka podsunęła mi bloczek. Miałem pisać, ale przyznam się, że rozkosz estetyczna zwyciężyła we mnie odrazu żądzę karjery przy wojewodzie częstochowskim. Wodziłem naokół upojonym wzrokiem. Trzy szafy gdańskie, tak gmachy dębowe pod ścianą, pająk kryształowy wisi u pułapu. Na posadzce dwa dywany stare z Kaszmiru czy z Damaszku. Ściana lewa obwieszona tuzinem słuckich pasów. Nad nimi pięć ryngrafów i rozeta z karabeli i jataganów. Wspaniała kanapa — olbrzym, „confidence" jakby wyjęta z Nieświeża. Między oknami dwa kantorki z gruszkowego drzewa całkiem z Arkadji czy z Puław, przy drzwiach

serwantka arcydzieło w kształt liry z porcelaną z Korca i Nieborowa, na serwatce zegar autentyk Gugenmusa. Na środku salonu przepyszności garnitur czeczotkowy żółciuśki, stary, feodalny, na ścianie z prawej dwa stare portrety jakiegoś wojewody w kontuszu i jakiejś markizy w robronach, nad portretami rozpięty szeroko sztandar, amarantowy, konfederacki.

Patrzałem zdumiony, zachwycony, wniebowzięty, dogłupiony. Łowiczanka stanęła przy mnie, i patrząc litościwie jęła tłomaczyć, nie bez dumy

— Ładnie, prawda? Podoba się panu, co? To od niedawna jest po takiemu. Zeszłego roku to państwo mieli wszystko w secesyi niby, z secessji, po nowemu. Inne meble tu stali, całkiem nowe takie, nienaskie. Ale tego roku to państwo wszystko nowe sprzedali, a kupili te same stare. Tera je taka moda na stare antki, bo tego dużo zwieźli z różnych dworów. Ładnie? co? jak u wiejskich państwa, prawda?

— Prawda... A tego... a szpinet jest? — Szpinetu tu jeszcze brakuje moja Kasiu — wybąknąłem, napawając się urokiem tego tak cudownie po staropolsku skonstruowanego pałacowego wnętrza. Takie rozumiesz co się gra na tem... fortepiana, pianino—tylko stare, żółte.

— A pianina... pianina, rozumiem — niema. Było, było pianino takie seccessja, to pan Pomeranc sprzedał taamtego tygodnia, boby tu nie pasowało do tego szalonu. Sprzedał panu Szenwicowi, także spólnikowi. Pan zna pana Szenwica?

— Nie, nie znam Kasiu. — Więc panu Szen-

wicowi? nie Grzeli?... Ergo... Grzela planina jeszcze niema. Ani wogóle nasi Grzele jeszcze planin nie kupują... A pan Pomeranc tyle o tem „planinie u Grzelów" opowiadał... i opowiadał... Znaczy się, że breszył.

Ergo skupują stare antki i szpiacty ale nie Grzele tylko Pomerance... Co? prawda Kasiu?

Prawda proszę pana, tylko Pomerance!

Takie czasy nastali. To tak pono zawdy po wojnie...

. Do widzenia Kasiu

Do widzenia

NIEWYDARZONA HODOWLA.

Jako rzeczywisty, aczkolwiek i honorowy członek Towarzystwa „Hodowców i przyjaciół drobiu" bywam od czasu do czasu w naszym klubie przy ul. Gęsiej Nr 3. Przyznaję z góry, że zachodzę tam dwa razy na miesiąc nie tyle dla wymiany myśli i uczuć z innymi członkami tej ukochanej przezemnie kongregacji, ile dla bardzo poziomego i że się tak wyrażę porodowo utylitarnego celu. Taszczę bowiem zwykle ze sobą pod pachą którąś z moich włochatych samiczek w której dostrzegłem już objawy erotycznej tęsknoty i oddaję ją na miejscu w ręce specjalisty, władającego stajenką zarodową, liczącą niemal dwieście sztuk najrasowszych królików.

Przyjemność, którą sprawiam moim faworytkom w nagrodę za to, że się pięknie i spokojnie pozwalają tuczyć na zarżnięcie, kosztuje mnie jako członka „Towarzystwa Hodowców drobiu" skromną sumę 2 mk 50 fen., podczas gdy każdy nie członek, przechodzień, rodak, za to samo „pokrycie" (wyrażając się fachowo) płaciłby musiał 5 mk 50 fen.

Jednorazowy spacer na ulicę Gęsią Nr 3 daje mi rocznie 200 funtów bardzo smacznego mięsa, dzięki któremu egzystuję, tyluję i *cogito — ergo*

sam Albowiem przeciętna samiczka z mojej królikarni odbywa pięć (wyrażając się fachowo) „wykotów" rocznie, a więc rodzi mniej więcej po 40 sztuk młodych, licząc zaś sześć funtów ze sztuki, dostaję rocznie 200 funtów mięsa z każdego zwierzątka Jasne?

Samiczek-maleczek zaś mam dziesięć Chowam je na płaskim dachu kamienicy w której mieszkam, oczywiście bez wiedzy właściciela domu, a jeno w cichem porozumieniu i kombinacji ze stróżem Widząc z doświadczenia jak świetne rezultaty daje racjonalna hodowla królików, jestem fanatycznym zwolennikiem tego sportu i wprost nie mogę wyjść ze zdumienia, że ta nowa gałęź produkcji krajowej tak powoli się rozwija (— co to prawdę owijać w reszcę bawełny — poprostu schnie A że schnie i to z kretesem schnie, miałem sposobność przekonać się, uciąwszy sobie krótki interwiewek z szefem stajni zarodowej króliczej w Towarzystwie hodowców i przyjaciół drobiąt, przy ul. Gęsiej Nr 3

„Źle jest, proszę pana dobrodzieja całkowicie źle Nasz ludek kochany nijak się nie może do tych królików przekonać Namawia się, agituje, wydaje broszurki, jeździ, prosi, perswaduje, a szerokie warstwy jak cię uparły w tej zawziętości przeciw wszelkim królikom, tak ani rusz Jeszcze dwa lata temu, gdyby się wiedy było wzięło mądrze, energicznie i szczelwie do agitacji za tą hodowlą to można było przeprowadzić swoje Porobiliśmy w Warszawie i na prowincji takie kółka hodowców, posprowadzaliśmy i rozesłali

bardzo sprytnych instruktorów, nadrukowali kopami broszurek z obrazkami, nawet puścili za drogie pieniądze pocztówki z podobiznami wiedeńskiego, rasowego samczyka, wszystko na nic — wyrzucony pieniądz, panie dobrodzieju i tyla!

Chłopy to się już nawet zawzięły na naszych instruktorów i gdzie niegdzie sprali ich, że aż wstyd powiedzieć. Żadnego zainteresowania dla tych królików, o zamiłowaniu już ani mowy. Tłomaczymy takiemu mieszczuchowi czy wieśniakowi, ile to praktycznej korzyści z królika mieć może, a on na to ciągle swoje i swoje. A że to wielki koszt trzymać takiego darmozjada w chałupie, a skąd to wziąć żarcie dla takiej przybłędy, a to i owo. Opowiadamy im tedy, że się takiemu daje liście, głąble, obierki, oskrobiny, łupiny z bobu, nać z marchwi, byle co. To chłop wtedy w śmiech i „gadaj pan głupiemu w mieście, że taki król żre byle co".

A namówi się wreszcie na wzięcie króla, to zaraz zaczyna się lament skąd wziąć klatkę dla niego, że klatka kosztowna, że trzeba ją ciągle oporządzać, dezynfekować, oczyszczać. A potem nowe kłopoty skąd wziąć samicę rasową dla takiego „szeka flandryjskiego", czy „barana wiedeńskiego", czy „olbrzyma srokatego". Dość, że mają tysiące wymówek, wykrętów, argumentacji, ale się do hodowli królików nijak przekonać nie dają. Bywa, że przychodzą tu do nas na Gęsią rozmaici, nawet gromadami, oglądają sobie nasze okazy, chwalą, dziwią się, że takie duże jak byki i takie sprytne i takie płodne, ale zagadniesz ich pan do-

brodziej „weźcież sobie „jeden egzemplarz rodacy", to popatrzą po sobie, ten i ów splunie na bok i wychodzą, trzaskając drzwiami! Tłomaczy się na rozum, co to z takiej angorki srebrzystej, albo z takiego „rozpłodnika wiedeńskiego" mieć mogą, se to i pasztet i paprykarz, futerka dla żony i skórka na obuwie dla dzieci, a oni nic i nic. Twierdzą z uporem, że mięso słodkie i mdłe, a skórka niepewna i nie starczy na cholewę. I gadajże tu z takimi. Nie opłaci się, nie kalkuluje się, wielki koszt a pociechy mało. Dzieciska to ta mają z takiego klapoucha jeszcze uciechę, ale dla nas to pożytku żadnego. To zabawka może dla panów, nie dla nas. My tam wolimy chudego wieprzaka od najtłustszego szeka, odpowiadają raz po raz.

— Nie, panie dobrodzieju kochany nie da się wperswadować hodowli królików temu upartemu chłopskiemu narodowi. Zapóźno. Teraz się zawziął i już. Co pan poradzisz. Dasz mu pan na próbę ładny egzemplarz, to go zarżnie zaraz a hodować nie będzie. Trudno. Z upartym do ładu nie dojdziesz. Mądry ustępuje.

Oto co mi mówił, kompletnie już zniechęcony szef królikarni zarodowej przy ulicy Gęstej, podczas kiedy moja samiczka z rasy „srebrzystych baranów" właśnie poznawała się i zaprzyjaźniała z bajecznie namiętnym reprezentantem „szeków normandzkich" sprowadzonym wprost z samego Widnia.

Niech jej pójdzie na zdrowie! I tak się ją zarżnie.

— —

Wreszcie więc i zegary zabiły.

Pierwszy jen w Bazylice Cyryla i Metodego, wydzwaniający od dziewięciu lat godziny nadchodzącej śmierci, jęknął powoli senatorskim dźwiękiem zwiastowanie północy. Wraz za nim szybkim, mocnym, rozkazującym tonem ten z ceglanej strzelistej wieżycy Pałacu Ludowego przy Łuku Pokoju. Poczym ten od Zakonu Towarzyszów Pancernych i wraz z nim ten już bliski z kościołka świętej Kingi zachrypły, zły, chory, rdzą zżarty. Wreszcie w poplątanym już zgiełku łączący się z nimi pospiesznie, wiecznie opóźniający się dzwon zegara z Przytułku Ślepców, najbliższy na przedmieściach tej części wielkiej stolicy ludzi małych. Najbliższy jeinej rezydencji, jego rezydencji.

Słyszę każde złowrogie uderzenie zegarów, jak gdybym był kółkiem w mechaniźmie każdego z nich. Serca dzwonów uderzają w bezbronne ścianki mojej czaszki miarowo, boleśnie bezlitośnie, budząc mnie z odrętwienia, rwąc spokój wyczekiwania na strzępy. Każdy dźwięk rozpręża mi nogi wryte w wilgotną ziemię, każdy dźwięk napina muskuły w stalowe liny i wiązadła, każdy chłosta

krew w żyłach do szybszego okrążenia, każdy mocniej przytula mi do boku misterne ale ciężkie narzędzie czynu, piekielny instrument śmierci. Każdy ton wybijającej godziny rozszerza mi bardziej źrenice i wpija mocniej mój wzrok w plamę świetlistą pałacowej werandy tam, w górze wysoko, na wylocie alei cyprysów...

O północy punktualnie skończą uroczystą kolację, wstaną od stołu ze szurgotem hałaśliwym nóg wszystko zawsze depcących, a służba szybko posuwa stare smukłe krzesła Chippendalowskie, innych „panów" pamiętające. Poczym stanie się, że pełni żeru, ciężcy trunkiem, zaduchem swych zgrubiałych cielsk udręczeni wyjdą jak zawsze, z werandy po schodach w aleję z drzewek cytrynowych, opadającą wolnym spadkiem aż do żelaznych wysokich sztachet, które okalają stary park hetmański.

I wtedy zdarzy się mój pierwszy i ostatni czyn.

W gałęziach znieruchomionych, zdrętwiałych w niemem oczekiwaniu drzew coś zachybotało. Poruszyła się najdrobniejsza gałązeczka olchy, zniecierpliwiona marwolą gorącej sierpniowej nocy. Czuję dokładnie bezsenne zaciekawienie i czuwanie na jawie wszystkiego ptactwa, patrzącego na mnie z bliskich gałęzi rozszerzonymi czarnymi oczkami istot oczekujących czynu, świadomych konieczności czynu — mojego czynu.

Tam daleko na krańcach wielkiej stolicy małych, w jarząco oświetlonem mieszkaniu Olgierda oczekują teraz zebrani oni. Są ubrani odświętnie

rozmowni, rozbawieni, beztroskę rozbawienia odgrywający. W jasnym pokoju trzech-okiennym zebrali się spokojni, swobodni, cierpliwi, wierzący we mnie ślepo, pewni, na żaden zawód nieprzygotowani. Olgierd zasiadł już zapewne do fortepianu. Przyćmią światła i za chwilę kaskady rapsodji rycerskiej, mojej rapsodji rycerskiej, buchną przez szeroko rozwarte okna w dół, w wąwóz ciemnej ulicy, w noc letnią, parną, w wielką słotę małych, w świat. A kiedy Olgierd będzie mniej więcej dobiegał do c o n f u o c o, dom cały zatrzęsie się w posadach, a okna rozwarte zadźwięczą jeno w zawiasach. I wszystkie domy obok zadrżą a na asfalty ulic posypie się z metalicznym dźwiękiem ulewa szkła, tłumiąc odrazu akordy mojej marnej, mojej mistrzowskiej rapsodji.

Zaiste bowiem w tym momencie nastąpi mój pierwszy i ostatni czyn.

Widzę oczyma mojej słabej wyobraźni, jak w tysiącach tysięcy małych i wielkich stacji telegraficznych siedzą pochyleni nad aparatami jacyś bliźni moi, wpatrzeni w paski papierowe, oczekujący niespokojnie wielkiego czynu, mojego czynu. Widzę dokładnie, jak w kamerach telefonicznych tylu, tylu miast na obu półkulach czekają ze słuchawkami przy uszach inni, walczący z sennością, ale cierpliwi, bo przeczuwający bezwiednie, że za chwilę już przyjdzie jedna z tych nowin, po których westchnienie ulgi wydobywa się z piersi umęczonej ludzkości. Wiem z niewstrząśniętą pewnością, że te miljony ludzkich istot, które teraz odpoczywają ogarnięte hypnozą snu w łóżkach swych

ziemskich klateczek zasypiały niedawno z marzeniem o jednym tylko czynie, który teraz ma nastąpić o moim czynie. Dzisiejszej nocy wielkie przęsło z mosin niegodziwości musi się zapaść w przepaść, jedna gwiazda fałszywa musi być zepchnięta w niebyt! O świcie będzie już po wszystkiem. Jutrzejszy dzień da trymf dobrej sprawie dzięki aktowi mojej woli, dzięki jednemu błyskawicznemu gestowi mej ręki... O! to będzie dopiero rapsodja rycerska!

Zegary wielkiej stolicy małych wydzwoniły północ już wszystkie. W uszach jeszcze dźwięczy mi ostatni ton ostatniego dzwonu i łączy się z pierwszymi echowymi akordami mojej rapsodji. Wreszcie i te rozpływają się w wilgotnej atmosferze, głuchną i zapadają w przepaść nieprzebranej ciszy. Nieubłagalna drapieżna samotność porywa mnie w swoje szpony. Ciężka opona chmur rozwiesiła się nisko, dziwnie nisko nad prastarymi olchami Heimańskiego Parku. Prześwór nieba zasnuła bezgwiezdna, bolesna ciemność. Oko tonie w czerni gęstniejącej, naciskającej mnie dokoła coraz okrutniej. Teraz, teraz należy wytężyć w jedno ognisko całą żywotną wolę, siłę i władzę. Ginąc ożyjesz, padając podniesiesz się, szczeznąc zmartwychwstajesz! Już tylko ku ostatecznemu celowi wytężaj wzrok! Patrz. Bądź gotów! Chwila się zbliża.

I widzę, jak tam, tam w górze, naprzeciw wysmuklają się z ciemności w rzęsistych blaskach światła kolumny Arkadji, ich Arkadji i bieleją ściany pałacu z wpiętymi jarzącymi bukietami okrąg

łych amph. Teraz powinni już wstać z szurgotem wszystko depcących nóg. I obcierać w białe serwety czerwone od krwi ludzkiej usta. I dziękować sobie wzajem i ściskać ręce gotowe znów do mordów. I teraz zaczną schodzić po marmurowych stopniach w dół ogrodu, w chłód w ciemnię, byle bliżej, bliżej. Aż wreszcie nieprzeczuwający niczego, spokojni, oddychający ciszą, żarząc jeno czerwonymi ognikami i zatruwając swoimi oddechami Boże powietrze, dojdą aż do żelaznych sztachet Hetmańskiego Parku. Do Alei Cyprysów. I wtedy...

W oczach wpatrzonych, wrytych w tę kolumnową jaskrawą białość czuję już ból jakby od ukłucia tysiąca drobniuchnych szpileczek. Za wiele te oczy piękna oglądały niegodne, by mogły spoglądać długo i mocno w jeden cel, w jedną plamę świetlistą.

Mam najgłębsze przedświadczenie, że jeżeli teraz wzrok na chwilę oderwę od tej oazy światłości, w której blaskach kąpie się to wszystko, com znienawidził i co niszczę, mam zniszczyć, jeżeli na chwilę odwrócę oczy moje w nięę obległającej mnie ciemności—to oślepnę. A jeżeli oślepnę, nie będę już mógł spełnić jedynego czynu, dla któregom i ja żył i inni, moi ze mną. I dlatego zmagam ból w oczach, mgłą krwawą już zachodzących i patrzę, wpijam się wzrokiem w kolumny Arkadji. Gorący pot oblewa mnie raz po raz, nogi wryte zapadają się w wilgotną ziemię. Jakoś nie wstają dzisiaj tak jak zwykle, opóźniają się. Czyżby przeczuwali? Czy coś zaszło niezwykłego? Na kresach parku lekki dech wiatru przemknął nad wierzchołkami ..

Jakaś płaszyna zatrzepotała skrzydełkami, wpatrzona we mnie, zasłuchana jakby w ciszę, i teraz dostrzegam w szlaku rozpylonej światłości padającym z werandy pałacowej wprost ku mnie jakiś drobny punkcik. Zbliża się ku mnie szybko i w miarę zbliżania powiększa, rośnie, olbrzymieje. Coś znów zatrzepotało w bolesnej ciszy stężałego jakby już w wiecznej nieruchomości Parku. To rosa pada... Najniespodziewaniej i poraz pierwszy od tylu, tylu godzin czyhania w kępie zieleni czuję konwalji świeżych zapach, upojny a delikatny, widocznie w tym momencie właśnie rozkwitły i mnie przesyłają pierwsze pożegnalne pocałunki. Nie oglądnę się gdzie są, gdyż, gdybym odwrócił teraz oczy od celu jedynego, oślepłbym i nie spełnił mego posłannictwa. Patrzę więc uparcie, z wyjątkiem ostatecznem w smugę promienną i oto dostrzegam już wyraźnie w pyłku lecącym ćmę, ale ćmę upiornie piękną, pozornie szarą jak wszystkie, a jednak w promieniu świetlanym mieniącą się tysiącem tysięcy kolorów tęczy.

Tyle już uskrzydlonych robaczków oglądałem w blaskach słonecznych, ale zaprawdę żaden z nich tak oszałamiająco piękny jak ten w tej rozstrzygającej nocy! Leci wprost ku mej twarzy pobladłej już w śmiertelnem wyczekiwaniu czynu, i kiedy, w zaciekawieniu i zachwycie uchylam głowy, przelatuje obok mnie dumnie ćma nocna. Niebaczny odwracam głowę i patrzę w szlak świetlany za drobnym pyłkiem ożywionego kurzu ziemskiego, lecącym w czeluść ciemności. Rozkoszny zapach konwalji owiewa mnie słodki i odurzający. W uszach

czuję niespodziewanie smak rozgryzanego granatu czy też całujących krzyż pacierzowy wilgotnych warg kobiecych

Na muskuły przed chwilą sprężone opada szybko jakaś gnuśność nieubłagana Ręka wyciągnięta przed się i dzierżąca twardzo arcydzieło sztuki śmierci niosącej opada. W ostatniem oczu mgnieniu widzę jeszcze jakieś kościste palce, wyciągające mi błyskawicznym ruchem bezbolesnym gałki oczne z oczodołów... Ślepnę Już nie widzę, nie widzę ni oazy przeklętej światłości ni ćmy zapadającej w czarne upusty...

Słyszę tylko wyraźnie cwałujący rytm rapsodji rycerskiej, mojej sławnej fortepianowej rapsodji rycerskiej... Hahaha...

I słyszę gruby szyderczy zdrowy śmiech wstających od stołu z szurgotem nóg wszystko depcących

Na werandzie pałacu Arkadji ,

Ich rezydencji...

WIGILJA DUSZEŃKI

(DRUKOWANA W R. 1917 JAKO NOWELA ANTONIEGO CZECHOWA)

Długi, bardzo długi czas w Wierchniedurnowsku była tylko jedna jedyna jadłodajnia dla ludzi sialecznych, majęlnych i pragnących się dobrze najeść i napić. Domyśli się każdy czytelnik, że mówię tu o „restauracie" przy browarze Michała Maxymowicza Borassowa przy Małej Petersbuskiej, tam gdzie już niedaleko plani kolejowy naprzeciwko starych Łaźni. Nie bardzo to piękna jadłodajnia była z zewnątrz dla oka ludzkiego, ale tam, gdzie się pasie żołądek, oko możesz bracie przymknąć i nie patrzeć. Z przodu piętrowy dom z ogromną siecią wjazdową dla furgonów z beczkami, w głębi za podwórzem pięciopiętrowy browar z czerwonej cegły niby jaki kasztel górował nad całym cyrkułem kolejowym, ba nawet nad całym Wierchniedurnowskiem.

Jak wszyscy inni tak i Iljá Jegorowicz Tielega szczęśliwy właściciel wielkiego składu mąki, krup, jagieł i grochu przy końcu Słowiańskiego Prospektu uczęszczał wieczorami i co to zatajać często i w południe na kieliszek lub na kufeleczek do oazy wypoczynku przy Małej Petersburskiej. Uczęszczał chronicznie mimo ciągłych protestów Duszeńki, to jest ni mniej ni więcej tylko własnej małżonki

która miała ostatecznie pewne prawa do niego jako-że wniosła mu spore wiano w interes, a następnie obdarzyła parką zdrowych i rumianych coprawda tylko potomków. Ciągnęło jednak nieprzeparcie do Michała Maxymowicza, to co ciągnęło innych mianowicie mocne zdrowe piwo, obficie, a z prosiąt zastawiony bufet i swobodny nad wyraz obyczaj, jaki panował w mieszczańskim lokalu. Ostatecznie atoli stary Tielega miał jeszcze mocniejsze argumenty w obronie w dyskusjach z żoną, gdyż cieszył się jak to wiadomem było w całem mieście specjalną przyjaźnią i zaufaniem potentata z Małej Petersburskiej. Wieczorami przy stoliku naprzeciwko bufetu, gdzie rezydował stale Michał Maxymowicz wolno było przysiadać się tylko bardzo niewielu wybrańcom z pośród obywateli Wierchniedurnowska.

Do takich zaliczał się i Lew Abramowicz, generalny dostawca chmielu, pozatem osobistość nieinteresująca, ale bardzo ciekawa i nieprzeciętna. Skąd „osobistość" pochodziła, niewiadomo. Jedni go uważali za Ormiaszkę, inni za Gruzina, jeszcze inni za Karaitę. Dość, że tylko Tielega i Lew Abramowicz mieli przywilej siadywania naprzeciwko kasy kontrolowania wpływów co się waliły oknami i drzwiami, przekomarzania się z bufetowymi dziewczynkami i protekcyjnego zaczepiania wchodzących gości.

W roku niewiadomo już dziś którym zdecydowała się zwierzchność przeprowadzić w tych okolicach nową odnogę kolejową, łączącą Wierchniedurnowsk z bliskimi kopalniami. Wpłynęło to

oczywiście nadspodziewanie wszystkich na gwałtowny rozwój skromnego i mało znanego dotychczas grodu. A że to przy wzmożonym ruchu kolejowym *zaraz więcej wykroczeń i omijań prawa*, więc przyszedł zaraz i wyższy sąd, potem filja Banku Państwa, potem szpitał oddzielny dla chorób *skórnych, dwie większe fabryki, nowy posterunek* żandarmerji, towarzystwo ubezpieczeń od ognia, filja jednego ze stołecznych towarzystw ubezpieczeń na *życie i oto masz całkiem nowy cyrkuł Wierchniedurnowsk* cywilizował się i rósł w oczach jak na drożdżach, na drożdżach kupionych oczywiście *u starego Tielegi, który miał je na składzie w najlepszym* gatunku.

Skutkiem tych okoliczności (przyznajmy z góry, *że szczęśliwych) okazała się wnet wnet potrzeba* nowej jadłodajni w Wierchniedurnowsku. A wiadomo, że gdzie się okazuje jakaś potrzeba, tam *musi być wnet i jej zadośćuczynienie. I tak się też* stało. Nie upłynęło 5 lat, dosłownie 5 lat od postawienia nowego dworca, jak na Prospekcie Słowiańskim *otwarto z wielką pompą i szykiem odrazu* „Maison Dorée". Ma Kijów swój „Jardin d'hiver", ma Moskwa swój „Chateau de fleurs", dlaczego Wierchniedurnowsk *nie mógł sobie pozwolić odrazu* na „Maison Dorée"?

Bywalcy jadłodajni Michała Maxymowicza *przyjęli fakt otwarcia nowego restauranu z zimną* krwią, ale i z wyraźną niechęcią. Nie trzeba zatajać, że weranda „Maison Dorée" z wazonami *pełnymi kwiatów, białe obrusy na stolikach*, garsoni we frakach i t. p. błazeństwa stały się zczasem

ulubionym przedmiotem niélitościwych kpin i szyderstw przy stoliku uprzywilejowanym Michała Maxymowicza na Małej Petersburskiej. Inaczej stoli zapatrywało się na tę nowalię miasto samo. „Maison Dorée” wstępnym bojem zdobył sobie fawory inżynierów, wyższych wojskowych, profesorów, urzędników i dwóch redaktorów liberalizującego tygodnika „Wierchniedurnowskiej Pszczoły”. Protegowały go przytem z właściwą namiętnością i niepohamowaniem wszystkie damy miasta. Wśród nich zaś także pani Duszenka, małżonka znanego nam mączarza Tiełegi. Ta ostatnia stoli całkowicie platonicznie, niestety tylko platonicznie.

Ilja Jegorowicz wiernie bowiem trzymał się stołu Michała Maxymowicza. Zżył się już z tem wszystkiem od tylu lat. Nie mierziły go ani zaduch ani bardzo względna czystość, ani fetor kapusty, ani gryzące oczy obłoki taniego dymu, ani częste kłótnie, awantury, a nawet czynne obrażania się po twarzach niektórych co nerwowszych gości. Kiedy Duszeńka od czasu do czasu napomykała cośkolwiek o tem, że warto by aby Ilja Jegorowicz choć raz dla ciekawości ot zaglądnął, zwiedził, przypatrzył się od środka jak też to wygląda i co się dzieje w „Maison Dorée”, stary wierny swemu browarowi puszczał te kuszenia mimo uszu i wzruszał tylko ramionami. Połowicę swoją uważał zawsze za coś nie coś pomyloną na mózgu: grywała na fortepianie, czyściła sobie paznogcie, dzieciska uczyła gimnastyki, czytywała grube książki, czasem po trzy tomy powieści wciąż o tem samem, wogóle

zajmowała się wieloma sprawami, nic z mąką i krupami nie mającymi wspólnego

Ponieważ zaś rozniosło się po Wierchniedu-nowsku, że w „Maison Dornée" bywają z żonatymi i ich żony i córki i ciotki i narzeczone, więc oczywiście sfiksowana Duszeńka wbiła sobie ćwieka w głowę, że to i ona niby musi iść z mężem na salę pomarańczową przy Słowiańskim Prospekcie, gdzie się zbiera porządne towarzystwo. Ot próżna baba i tyle.

Tymczasem zaś urodna jeszcze Tielezyna miała i swoje w tem racje, nic nie mające wspólnego z damską próżnością. Chciała, przyznajmy to wreszcie wywiać raz małżonka popiołu z fatalnej kompanji. Nie tak bowiem zupełnie niewinnie przedstawiały się wieczory Ilji Jegorowicza przy Małej Petersburskiej. W manierach i obyczajach podupadał tam stary co się wlezie. Nauczył się kląć po macierzyslemu aż uszy bolały. Dziewczynki delikatne za byle co walił, pożal się Boże całkiem za przykładem Michała Maxymowicza, który chłopaków restauracyjnych przy każdej sposobności ot tak dla konkokcji żołądka bił pięścią między oczy lub dwoma pięściami w kark, aż i krew się lała raz po raz. Conajmniej dwa lub i trzy dni w tygodniu wracał Ilja Jegorowicz na rodzinne pielesze zalany jak nieboskie stworzenie, z poszarpaną odzieżą, sumitujący się i przysięgający na klęczkach, że „już z tą kanalją zrywa na zawsze", trzeba to jednakże wyjawić tylko wtedy, gdy w pijanym stanie tego wieczora podpisał jakiś niekorzystny kontrakt z młynarzami (zazwyczaj podsunęły mu nie w po-

rę przez Lwa Abramowicza) lub gdy znów przegrał większą sumę w karciochy, a sumienie go gryzło z powodu ułżenia kieszeni.

Grywało się tam bowiem przy stole Michała Maxymowicza grywało hazardownie, że aż miło. Tylko karty trzaskały po brudnym blacie. W lancknechta, we ferbla, w gerytasza, w ulubione gry gospodarza lokalu grywano czasem do sinego ranka i żeby już być z prawdą w całkowitym porządku, to wyznać trzeba, że znowu Michał Maxymowicz lubiał pasjami ni stąd ni zowąd talję z fałszowanymi kartami wyciągnąć z kieszeni i oszukiwać bezecnie partnerów jak się patrzy. Taka to już była słaba strona tego mocnego człowieka. Energiczny, zabiegliwy, pracowity jak wół, własnym mozołem i pięściami oraz rozmaitymi sztuczkami solidnej firmy się dorobił, czeladź w karności i posłuchu trzymał, wzorem dla wszystkich browarników w guberni mógł być choćby tylko w zbijaniu pieniędzy, ale cóż, w karty oszukiwać lubiał. Takie już zboczenie dziwaczne miał i wyperswadować mu tego nie było można za nic w świecie.

Mówili coprawda zazdroszczący mu dorobku, że tak samo fałszuje w rachunkach, w kontraktach, ba nawet że służbę okrada w wypłatach no, ale to była stanowczo zła potwarz ludzka, a w każdym razie duża przesada. Na gorącym uczynku tego rodzaju jeszcze nikt go złapać się nie ośmielił. Że atoli w kartki przy lanckoechcie oszukiwał, to czuł Ilja Jegorowicz namacalnie, bo na własnej kieszeni.

Jeszcze większą zgryzotę miała atoli biedna pani Duszeńka z powodu drugiego kompana swego

małżonka, to jest Lwa Abramowicza, o której to zgryzocie mawiały też niby to półgłosem ale tak, żeby i ona słyszeć mogła między sobą, a z przekąsem wszystkie znajome i przyjaciółki.

Nietylko bowiem chmiel, to jest martwy towar dostarczał Lew Abramowicz dla browaru przy Małej Petersburskiej, ale miał jakąś osobliwą manję w prowadzeniu do piwiarni to zabłąkanych kursistek, to jakichś słomianych wdówek, to emancypowanych córek czynowniczych, ba nawet wprost dziewcząt niedobrego prowadzenia się, które wprowadzone wieczorem, już potem zostawały przy stole gospodarza, nawet gdy drzwi frontowe i okna zaryglowano, światła w bramie pogaszono a służba pokładła się w sieni na siennikach spać. Bywało, że i Ilja Jegorowicz zostawał wtedy i nikt nawet nie wspominał wtedy o kartach.

Co innego szło wtedy z rąk do rąk. Niestety, co innego.

Pomimo to, pomimo to, co się wyżej nadmieniło, pewnego dnia a było to w lecie, zdaje się w lipcu i zdaje się nad wieczorem, Olga Nikiforówna (bo takie było właściwie imię Duszeńki) zdecydowała się wziąwszy na bok Ilję Jegorowicza zdaleka od dzieci, nachylić ku sobie jedno jego wielkie włochate ucho i coś mu tajemniczego ze zgoła panieńskim rumieńcem cichym szeptem zakomunikować.

Tielega choć ciężki w ruchach odskoczył na bok z radością niepohamowaną obie ręce podnosząc w górę.

— Nie może to być? Prawdaż to?

— Prawda — jako Bóg na niebie.

— No to może wreszcie będzie syn? *Duszeńko, malczyk? spadkobierca?* hę?

— Nie może, ale na pewno będzie syn, Iljuszka. Na pewno, ale pod jednym warunkiem.

— *Mianowicie?*

— Mianowicie, że zmienisz co ojciec tryb życia. Że przedewszystkiem zerwiesz z bandą z browaru (tak zawsze nazywała *Michała Maxymowicza et consortes*), przestaniesz ich całkiem wogóle znać, kupisz mi nowy kapelusz i pójdziesz *ze mną kilka razy* do *Maison Dorée*. Rozumiesz teraz? Spróbujesz ty raz współżycia w uczciwem towarzystwie, to w nagrodę dostaniesz synka. To ci zaręczam i przysięgam.

Nie jest wiadomem, na czem się opierała znowuż, przysięgając z taką śmiałością Olga Nikiforówna, ale jest wiadomem w całem Wierchnieduranowsku, że w *pewien piękny wieczór lipcowy* na werandzie przy Sławiańskim Prospekcie bardzo blisko bainstrady zasiedli przy śnieżno białym nakrytym stole znani w mieście właściciele największej może w guberni, światowej firmy mącznej Telega i Spółka.

Tak wielką bowiem okazała się w Ilji Jegorowiczu chęć posiadania męskiego potomka, któryby nie znał już nawet ze słychu ordynarnej kompanji z Małej Petersburskiej, a obracał się w towarzystwie honorowych ludzi, i od tego dnia lipcowego począwszy, dość już często można było widzieć pana kupca z rogu Słowiańskiego Prospektu, siedzącego to na werendzie to w sali po-

marańczowej, to z żoną to bez Duszeńki, to w towarzystwie inżynierów, to z kupcami pierwszej klasy Fomą Matwiejewiczem (jedwabie) z Jurjem Porfirowiczem (księgarnia i przybory piśmienne), to nawet z dwoma redaktorami liberalizującego tygodnika „Wierchniedurnowska Pszczoła" Chadzał tam w czarnym nowym garniturze z angielska skrojonym a obuwie miał szykowne żółte, znowu amerykańskie. Na początku oczywiście co zazdrośniejsi obywatele cokolwiek się dziwili, że taki sobie Telega, mączarz tak łatwo wszedł w lepsze towarzystwo Widocznie tedy nie raził swą rubasznością kupiecką?

Z czasem oswojono się z Telegą w „Maison Doree"

Zaczęto już nawet mawiać z całkiem naturalnym akcentem mówił to Ilja Jegorowicz w „Maison Doree", spytaj się pana Ilji Jegorowicza dzisiaj w „Maison Doree". Wierchniedurnowsk przechodził nad tem do porządku dziennego

W restauracji przy Małej Petersburskiej atoli odejście Ilji Jegorowicza przyjęto z zimną krwią ale nie bez abominacji Michał Maxymowicz nie przejmując się rozłąką z przyjacielem swoje nadal robił, wstawał jak zawsze o świcie, pracował co wlezie, chłopców grzmocił, w rachunkach coś nie coś nadal oszukiwał, a nagabywany raz po raz o Ilję Jegorowicza odburkiwał lakonicznie nie wyciągając fajki z olbrzymich, wspaniałych zdrowych kłów der kommt wieder .

Tymczasem atoli Ilja Jegorowicz nie wracał.

Miesiąc, drugi miesiąc, trzeci, *prawie* czwarty nie wracał. Trzymał się dzielnie.

Ależ łgałby ten, i to łgał wierutnie, ktoby twierdził, że sam Ilja Jegorowicz oswoił się tak gładko z *nową* sytuacją i z nową kompanją, tak całkiem innego stylu, innej edukacji jak tyloletnie jego bractwo z Małej Petersburskiej. Ciągnęło wilka do lasu i do lasów, *ciągnęło*.

W „Maison Doree" wszyscy goście już niby też oblaskali się z jego niebardzo kształtną sylwetą, ale czasami jednak coś tam *pomruczeli* do siebie, wskazując go sobie za plecyma. Poprostu uznawali w nim jakgdyby tylko pierwszą w guberni firmę mączną i tyle, specjalistę mącznego. Z manierami Telegowymi oswajali się atoli z pewnym trudem.

Kiedy, zapominając się na ten przykład, splunął raz i drugi na środek *czerwonego* sukna, zaściełającego pomarańczową salę, powiedziano mu z uśmiechem ale nie bez szczypty sarkazmu:

— Ilja Jegorowicz, wy macie *mocno* amerykańskie gesty.

Uwierzywszy w to, spluwał odtąd nieco swobodniej, dopóki nie zauważył, że ten gest amerykański w *„Maison Doree"* się nie przyjął i że szczególnie bezczelne fagasy miały mu to stanowczo za złe, za—shoking.

I wiele zresztą jeszcze *przykrych* rzeczy udało się zaobserwować Teledze w „Maison Doree", że i djabełby się chyba z tem wszystkiem szczerze poprzyjaźnił, nie istotnie ruska dusza, *jaką był* bez-

sprzecznie polentat mączny z rogu „Słowiańskiego Prospektu"

Przedewszystkiem w tych salach bywało omal cicho, czasem ledwie gwarno, nie muzykalnie. A tam, tam na Małej Petersburskiej grała duża tajemnicza kunsztowna szafa w rogu to „Fra Diavolo", to Lohengrina, to Kamarinskę i to Kamarinskę z cymbałkami i dzwonkami. Tam na Petersburskiej mogłeś bracie, gdy w humor popadłeś, gwizdnąć w ścianę szpikulcem ze szaszłyku a naokoło śmiech aż dudni. Sprobuj teraz coś podobnego tutaj a pięknie byś na tem wyszedł. Tam przelatywał koło ciebie chłopczyk z piwem, a ty jego z fantazji o! buch w czaszkę, a wszyscy brawo, zwiecs, hałas, krzyk i wesołość. Obrusy tam były czerwone w kratkę, a tu białe jak prześcieradła, a malować na nich mużyckim ołówkiem podobizny bufetowych ni się waż. I bufetówek tu wogóle ani na lekarstwo, a za to, fty, pożal się Boże sandwicze. Tam w restauracie, przy browarze co tydzień ktoś rozbijał swobodnie lustro, ale je potem słono też płacił. Tu nikt nie płaci za zbite lustra bo je nawet nikt zbić się nie waży bo i nie umie.

Tu wysoko na słupach jakieś cudaczne wazy przez koślawych japońców wyrzeźbione, a na ścianach jakieś niby sztychy podobno anglikańskie, ani to do płaczu, ani do śmiechu, nawet nie poznasz co takiego, chyba, że ci powiedzą. Kiełbasy na widelcu nikt ci tu nie poda, żebyś nie wiem jakie sumy płacił.

A co najgorsze, że na jadłospisach wszystko przeklęcie nie po staremu, nie po swojsku. Maszli

wilczy apetyt na baraninę i palcem delikatnie pokażesz fagasowi na takim „menuecie" franceski napis, to z pewnością dostaniesz w dobre pół godziny, ale kuropatwę tfy skórkę i kości. A spróbuj teraz kuropatwę twoją wziąć w palce i potem zerknij, jak na ciebie popatrzy najostatniejszy garson, zaraz się dowiesz, co o tobie myśli.

I im więcej chodził do Maison Doree Ilja Jegorowicz Telega, tem ciężej mu było na duszy i na sercu. Choć tam potrawy były drogie i smakowite, nic mu nie szło na zdrowie, co zjadł, jako że w towarzystwie nieszczerem, w którem przy końcu zacnego obżarstwa nie tylko już rozpiąć wyższych guzików u spodni, ale nawet guzików u kamizelki jakoś nie wypadało, nie wolno było! Rozmaici rozgadywali tam rozmaite rozmaitości, bo to i uczeni byli i napodróżowali się wiele i w Petersburgu raz poraz każdy z nich bywał i szlachetne pryncypia różne wygłaszali.

Obyczaj atoli wszystkich tych gości był nie szeroki a wąski, krępujący, sztuczny, pretensjonalny.

Kłaniali się sobie zadużo szastali nogami za często i tak jakoś szanowali siebie wzajemnie i świadczyli sobie, że aż nudno było patrzeć. A już co go doprowadzało do wściekłej, głuchej pasji wewnętrznej, z trudem jeno hamowanej, to pewne słowo, słówko jedno ale nieznośne i głupie do krzty, do dna głupie, mianowicie sandwicze! Co znaczy sandwicze? Małe pożal się Boże wycineczki bułki, z śledzionkiem czy jakiemś tam paskudztwem na wierzchu! małe, stobyś jego poł-

knął po jednej wódce. A to podawane z taką ceremonją, tak uroczyście, na srebrnej tacy. Płuć poprosiłl Sandwicze. Miałbyś ochotę, jak sunie taki niepoń z tymi sandwiczami, kopnąć w tacę z całej siły, żeby się cała sala zasandwiczyła i naurągać czasem całemu porządnemu towarzystwu, ażby ściany trzeszczały.

Nie, po tysiąc razy nie przyzwyczai się Ilja Jegorowicz do tego nowego towarzystwa. Wysilał się i przymuszał, bo wierzył w tę obietnicę, którą mu zrobiła Duszeńka. Za zerwanie z kompanją browarską Opatrzność go wynagrodzi małym Telegą. *Ale w duszy, na dnie czaiła się skulona* i skomlała cicho szczera przyrodzona tęsknota za starym obyczajem, za szczerymi ludźmi, za maszyną grającą, za filutersym i wyzbytym z wszelkich przesądów Lwem Abramowiczem i smutek go brał za tym samowarem samsonem na 250 szklanek, co to stał w kącie i buchał parą i za tymi kuflami z porcelany, udających głowy znakomitych wodzów jakichś tam, no a najwięcej, co tu długo obwijać w bawełnę, za samym Michałem Maxymowiczem Borussowym. Miał on tam swoje wady piwowar i swoje małe i wielkie łajdactwa, ale miał znowóż własnie szczerze ludzką ciepłą tolerancję dla wad bliźnich. Ludziska nie mówili o nim z szacunkiem, to prawda, ale i on do wszystkich żywił srogą pogardę. A już co najwięcej w nim było cenne to to, że miał swobodny obyczaj. *Szachrował w kartach i w rachunkach*, ale Bóg świadkiem, że i innym szachrować pozwolił i zamykał olbrzymie swe bielmowate oko,

dy się figlarnie wysuwały z rękawa znaczone karty. Uznawał szczery człowiek, że zabawa to zabawa. A bywało znowóż, że jak w gniew popadnie, jak się nasroży, zacznie perorować i pięścią walić w stół, albo w gębę parobka, to widowisko się robi pierwszej klasy, aż cię ciarki przechodzą, a bać się jednak nie potrzebujesz, bo on panem u siebie w browarze, a tyś panem w swojej wielkiej męczarni. Ot i co.

Nadchodziła wreszcie zima, a z nią śnieg i mrozy. Jak i inne miasta, tak i Wierchniedurnowsk nie był przez zwierzchność od zimy zwolniony. Więc i na Słowiańskim Prospekcie pojawiły się pierwsze sanki i pierwsze kupy brudnego śniegu. W „Maison Doree" werendę oczywiście skasowano, a stoliki wniesiono do środka, ale ruch w interesie jeszcze się wzmógł.

Pani Duszeńka coraz biedaczka bledsza tym razem jakoś gorzej i z trudnością znosiła dolegliwości odmiennego sposobu życia. Raz po raz pokładała się do łóżka na kilka dni. Zawsze atoli zapytywała Iiję Jegorowicza z niesłabnącą ciekawością: a co tam najmilejszy słychać w „Maison Dorree"?

Ilja Jegorowicz odpowiadał szeroko i długo, ale półgębkiem, kto tam był i co mówił i co jadł. Niezapomniał przytem zawsze wspomnieć coś i o przeklętych sandwiczach. Opowiadał niby to z uśmiechem i z zadowoleniem, ale w duszy szamotała mu się już wzbrana nienawiść do tych wszystkich poprawnych panów i tych obrusów białych i tych ukłonów ustawicznych i tych garso-

nów szywnych i tych rozmów o całym świecie Bożym, a najmniej o ukochanym Wierchniednienowsku oraz małych i miałkich łajdaciwach jego sympatycznych mieszkańców

I zdarzyło się pewnego razu a raczej pewnego wieczora, kiedy właśnie szedł do „Maison Doree", gdzie miał umówione niepotrzebne spotkanie z jakimś przemądrzałym profesorem (którego nazwiska nawet nie mógł zapamiętać) postanowił dla wypróbowania swej mocnej woli ot tak troszeczkę zboczyć, przejść przez całą Małą Petersburską i to właśnie koło browaru, koło jadłodajni. Dotychczas bowiem w ten sposób radził sobie Telega w walce ze swym rozlazłym charakterem i z palącymi pokusami, że poprostu stale Małą Petersburską omijał i z mieszkania szedł spacerem dokoła przez Żandarmski Zaułek i Soborny Plac na Sławiański Prospekt. Tym razem postanowił spojrzeć szatanowi w oczy, przejść koło dawnego raju i przechodząc poprostu splunąć. I jak się rzekło tak się zrobiło. Śmiałym krokiem przeszedł całą ulicę, potykając się tylko na fatalnym bruku a raczej bezbruczu, dwa razy wpadając po kolana w wierchniedniеnowskie, nieschnące od Napoleońskiej inwazji błoto. Przy restauracie śmiało zatrzymał się tuż przy zaśnieżonym oknie, okrytem soplami lodu a jednak brudnem co się wiezie. Wspiął się na palcach, szyby przetarł czystą, a nawet zaperfumowaną chustką i spojrzał w głąb. Michał Maxymowicz siedział jak zwykle przy swoim stole, ale sam, namarszczony, zły, czerwony jak ćwikła

I oś właśnie, jakby na obstalunek, zrywał się z miejsca i dopadał małego chłopaka, widocznie winowajcę, i zaczynał tłuc po swojemu, obficie serdecznie bez pardonu. Płacz, wrzask, przewracanie stołków, knile tłuką się w miazgę, nieszczęście gotowe, ale widowisko jest jak się patrzy i ruch i życie i swoboda.

Niestety ktoś właśnie otwierał drzwi szklane, na schody buchnęła w pustą ulicę chmura śmierdzącej gęstej ciepłej pary i zaduchu Ilja Jegorowicz podniósł kołnierz bogatego futra i pomknął szybko naprzód Tego wieczora do „Maison Doree" już nawet nie zaszedł Nie byłby nerwowo zniósł tej sztucznej ceremonjalnej atmosfery, zobaczywszy znów pełne, szczere mocne życie i mocnych ludzi, nie wspomniawszy już o mocnem piwie, jakiego w „Maison Doree" nie podaliby mu za żadne skarby świata jakoż z konkurencji

Ale na dalei dniszy legł się u Telegi bunt i protest przeciw temu, gwałtem sobie przez grymaszącą Duszeńkę narzuconemu towarzystwu „Dobremu towarzystwu"—hahaha! Co jemu z dobrem towarzystwem"? Napluć jemu na całe dobre towarzystwo i na cały Maison Doree, napluć i tyle I żal mu się czysty serdeczny żal zrobiło Jego osamotnionego, opuszczonego przez wszystkich Michała Maksymowicza, żal, że on tak sam tylko i gromoci swoich malczyków i bez widza godnego, bawi się i porządek trzyma! Od dola ludzka sebacza Na co mu to przyszło takiemu bogaczowi takiemu potentatowi! Bez towarzystwa ludzkiego Przykro pomyśleć

Tymczasem nadchodziły i święta Bożego Narodzenia. Olga Nikiforówna, jak to ona zawsze wszystkiem co niezwyczajne, świetlane, piękne, ekstra ordynaryjne podniecona, chciała tym razem oczywiście najniepotrzebniej urządzić małżonkowi święta wprost nadzwyczajne.

Bo mu tylko okazać wdzięczność za przejście do porządnych ludzi, biegała po mieście i biegała, skupywała co nie bądź, byle jodełka była piękna, prezentów moc, a kolacja wigilijna wytworna. Nie słuchając doktora, który przestrzegał przed ugaaniaczką i umęczeniem, wracała codzień do domu zziajana, zmachana, dźwigając pudła i pudełeczka, pakiety i zawiniątka. Na tem łachaniu zbiegły jej ostatnie dni aż do wigilijnego.

Tego to dnia Ilja Jegorowicz wstał niezwykle wcześnie. Był jakiś dziwnie zamknięty w sobie, w milczeniu zacięty, namarszczony i kolczasty, że bracie nieprzystępuj bez kija. W sklepie pobył krótko i jakby tylko dla formalności. Dla formalności też jakoby wybił jednemu z młodszych subiektów trzy zęby tronowe, a dwie damy targujące się w takim ścisku wigilijnym o cenę maku zwymyślał całkiem po malczynemu, po staremu. Przed jedenastą już wyszedł na miasto i wolnym krokiem potoczył się tak coś nie coś w stronę kolei, w stronę Sobornego Placu, no i co to prawdę obwijać w bawełnę, w kierunku Małej Petersburskiej.

I oto stało się, że właśnie na Sobornym Placu, tuż koło studni, świeżo pięknie na zielono polakierowanej ale zepsutej, szedł naprzeciw niego prosto dziób w dziób nie kto inny, jak sam we własnej osobie Lew Abramowicz.

Nie było już sposobu ominąć go, tak szedł w ręce, ramiona szeroko rozstawił i uśmiechał się wesoło, serdecznie, głośno, jak przystało na szczerze rosyjskiego człowieka, choć tam z pochodzenia gruzina, karaitę czy coś takiego. Widocznie albo znów na chmielu oznął kogobądź a może wyłowił gdzieś nowe dziewuszki.

Coś tam w każdym razie nowego miał. Ale co?

— Pozdrawiam ja was z dobrą nowiną Ilja Jegorowicz. Tak dawno, tak dawno. Pożal się, Boże! aui mejne munes!

— Bóg z wami Juduszka. I mnie za wami zatęskniło się, że niech czort weźmie.

— No ale wreszcie my znowu razem.

— A razem. Jak bywało ha, ha ha!

— To i partyjka może się zrobi? I panienki jakie. Kto wie? Pohulamy po staremu, jak Bóg przykazał.

— A pewnie, że pohulamy, Niczego!

I rozmowa potoczyła się żwawo, gorąco o tem i o owem, o wszystkiem, jak to bywa między starymi druhami, co to moc mają sobie do opowiedzenia o ludzkich i swoich wadach i sprosnościach a dawno się nie widzieli, przypadkiem jeno losu rozłączeni. Z nikim bo tęż tak się swobodnie nie gwarzyło, jak z tym Lwem Abramowiczem.

Bywało, że i naurąga mu Telega i nałaje ordynarnych słów i epitetów a Lew Abramowicz, jako że bywalec, światowiec wszystko puszcza mimo uszu i jeszcze się uśmiecha i wdzięczy. Tak

też i teraz, odrazu się do Telegi przylulił przyjaźnie a przy końcu Sobornego już szli obaj pod rękę, jakby się wczoraj dopiero rozłączyli. Chichocząc co się wlezie i szeroko parskając z radości zniknęli za węgłem domu, gdzie stara apteka i gdzie się zaczyna nieprzebrane błoto Małej Petersburskiej ulicy. A za nimi jakby smuga jakaś swobodnego obyczaju, starej zażyłości i szerokiego życia bez ceremonji, bez przesądów, bez saudwiczy i białych obrusów.

Aloli tak to już bywa na tym świecie, podobno Bożym świecie, że gdy w jednym miejscu jasno, to w drugim ciemno, gdy w jednym płacz, w drugim wesele, na pierwszym piętrze stanęła ci bracie w salonie trumna śród zieleni, a na drugiem właśnie w tej porze przychodzi na świat nowy członek społeczności, może i wielki obywatel, sława, figura, senator! Tak też i w domu Ilji Jegorowicza przychodził pod ten czas na świat nowy obywatel Wierchniedurnowska. ale niestety nie z weselem i radością, bo przychodził cokolwiek zawcześnie. Biegała Olga Nikiforówna po mieście, biegała, aż się wreszcie i dobiegała nieszczęśliwego przypadku. Szczęśliwa rozpromieniona, dumna szła sobie biedaczyna po schodach zadyszana ale szła za prędko. I oto jeden krok, jeden fałszywy krok i nieszczęście gotowe! To co miało być koroną żywota, dumą, szczęściem spadkobiercą Ilji Jegorowicza, jego familji, jego interesu, t. j. co mogło być w przyszłości chlubą Wierchniedurnowska, może całej guberni, ba, może nawet całej Imperji to przyszło na świat, ale nie w porę

i nieżywej. Biedną, omdlałą Duszeńkę położono do łóżka. Małe dziewczynki wylękłe, przerażone, z niczego sobie sprawy nie zdające zamknięto w stołowni na klucz przy upstrzonej świecidełkami jodełce. Dziobatego parobka Aljoszę posłano zaraz do *Maison Doree* po pana a dom cały napełnił płacz, lament i zawodzenie sług, kumoszek, sąsiadek.

Tymczasem *pan domu przepadł gdzieś jak* kamień w wodę. Wieczór już zapadał na Wierchniedurnowsk, wieczór uroczysty, mroźny wigilijny, ale dziwnie bezgwiezdny. W górze tak było jakoś ciemno, jakby i nieba nie było i Bóg się gdzieś ukrył w ciemnościach, a trzy gwiazdki betlejemskie ze służby nawet odwołał. W oknach *co bogatszych rodzin widać było zapalone już* świeczuchny u jodełek. Ostatni zapóźnieni obywatele wracali pośpiesznie do domowych ognisk, obładowani prezentami i fruktami. Tylko u jednych Telegów w oknach było ciemno i nieprzyjemnie. Pola i Grusia skuczały w stołowni skulone pod drzewkiem. Papaszy zaś jak nie widać, jak nie widać. Stary doktór odjechał na klekocącym wózeczku, zaleciwszy jeno spokój, spokój i jeszcze spokój. Za parobkiem Aljoszą wysłano *sługi jedną, drugą i trzecią, aby szukały zguby* drogocennej po znajomych kupcach u przewielebnego popa, w zajeździe naprzeciw foksalu, na samym foksalu kolejowym, wszędzie. Nikomu jednak nie przyszło nawet na myśl, żeby go szukać gdzieindziej, żeby go szukać — gdzie dawniej.

Olga Nikiforówna leżała cichuteńko w swojem łóżku biała, jak najlepsza, najdroższa mąka, ale spokojna i pewna siebie mimo wszystko. Nieszczęście się stało, ale winy niczyjej nie masz. A Ilja Jegorowicz, jeżeli się tam zawieruszył potężnie, to bądź co bądź przebywa w porządnem już towarzystwie. Może się tam i uchlał, jak to mówią do białego kolana, ale w każdym razie w Maison Doree. Jeżeli tłucze coś, to ostatecznie może nawet japońskie wazy. Jeżeli rzuca widelcem, to trafi, ale w te ładne szybky. Ale w każdym razie nie żąda jakiejś tam kulebiaki, ale pięknie nazwane francuskie smakołyki. A jeżeli nawet zaczął tam jak często po pijanemu tańczyć kozaczka, to bądź co bądź tańczy w amerykańskich butach a nie w tych ciężkich ordynarnych buciskach z cholewami. I biedna Duszeńka tłumiąc niegodziwe bóle w całem ciele i jakąś nadchodzącą dziwną mroźność uśmiechała się delikatnie w swem omroczeniu, marząc o Ilji Jegorowiczu, odwalającym dzikie prisiudy ale w pomarańczowej sali, w Maison Doree!

Zegar wydzwonił bezlitośnie godzinę dziewiątą. Kumoszki i sąsiadki odeszły już wszystkie do swoich ogaisk domowych, smutne ale i nieco pocieszone tem, że to szczęśliwym krafem nie im się przytrafiło. U Telegów było już cicho, jak po przejściu strasznej burzy.

I nagle z końca pustej już ulicy Małej Petersburskiej przedostał się jakiś krzykliwy, chrapliwy śpiew. Olgę Nikiforównę raptownie oblał zimny pot złowieszczego przeczucia. Zerwała się na pościeli, przysiadła, nasłuchiwała. Już już słychać

było wyraźnie, nienawistne Duszeńce, nienawistne do głębi serca zwrotki: „przepadaj moja telega!“ Ileż to razy śpiewano tak z szyderstwa a niby wesoło jej mężowi, gdy przebrał miarę, zaczynał się awanturować, tłuc szkło i co pod rękę popadło, niszczyć wszystko i wszystkich a potem opadać na kolana z płaczem i skomleć i przepraszać i całować podłogę, ziemię, błoto, błoto... nawet.

Nadludzkim ale kobiecym wysiłkiem zerwała się Olga Nikiforówna z pościeli i stanęła na ziemi. Nadludzkim wysiłkiem zrobiła pierwszy krok, drugi, trzeci... Do okna, do okna, do okna na świat... co się na Boga dzieje? I słaniając się i chwytając kurczowo powietrze dowlekła się wreszcie do okna. Wesoły, potępieńczy śpiew zlawał się już bardzo, bardzo bliski. Wyraźnie słychać było trzy głosy: jeden mocny bas, jeden alt, jego alt i jeden falset ohydny, chrypliwy, fałszywy, ale najbardziej górujący nad tamtymi. Rozpoznawała już dokładnie: Michał Maksymowicz... Ilja Jegorowicz i ten... padlec dostawca ciemieją... sprzedawca kurtsiek... obrońca swobody w obyczaju... Lew Abramowicz.

Dygocąc, spotniałą ręką schwyciła się futryny okna i obłędny przeszywający, w ciemnościach widzący wzrok wysiła w noc wigilijną. Jedna tylko latarnia naftowa paliła się, ale i ta już konająca gdzieś na rogu ulicy. Gwiazd nie było ani śladu. Środkiem ciemnej ulicy zataczały się trzy jakieś bryły ludzkie po brudnym, topniejącym śniegu, wywijające laskami, w rozpiętych futrach, z czapkami na bakier, zawodząca ohydną melodję w niebogłosy... Dwaj obcy podpierali środkowego, który

co chwila opadał i chciał klękać na oba kolana w błocie—byle w błocie. Już bowiem był ze swoimi dawnymi Ilja Jegorowicz. Już...

W tej chwili właśnie w cerkwiach zahuczały wszystkie dzwony. Najpierw ten u świętego Mikołaja Cudotwórcy jęknął przeciągle i jęknęła też cicho padając z łoskotem na ziemię Olga Nikiforówna. Serca dzwonów bowiem są wytrzymałe, ale serca ludzkie, jak się zdarzy które szlachetne, to słabe.

Biedna Duszeńka!

Stolica Polski cierpi na potworny uwiąd budowlany. Cegła droga, cegielnie stoją, obywatel *mularz* żąda 200 marek za godzinę i willę w Ciechocinku, towarzysz *ślusarz* ani słyszeć nie chce o normalnej płacy, nie buduje *się* więc literalnie nic. Tymczasem należałoby pomyśleć o szybkiem postawieniu Hali pod wiaduktem, Hali na Placu Kercelego, wielkiej szkoły na Lesznie, domów mieszkalnych dla pracowników miejskich, wykończeniu Bursy Akademickiej przy ul. Hożej, kościoła przy szpitalu *Dzieciątka* Jezus, rekonstrukcji gmachu Staszyca, naprawy mostu Poniatowskiego, skasowaniu śmietniska z kominem przy *Placu* Saskim, wreszcie co najważniejsze! zaczętego szpitala dla umysłowo chorych *za rogatkami* Mokotowskimi. Szczególny nacisk kładziemy na bardzo szybkie i wprost nieznoszące zwłoki wykończenie *szpitala* dla chorych na rozmiękczenie mózgu, po przeczytaniu olbrzymiej listy tych *wszystkich* znakomitości, które podpisały się i obiecały subskrybowanie nowego olbrzymiego przedsięwzięcia p. Louis Groszka ze Lwowa. Gentleman Groszek jest to jeden w tych nieprzeliczonych u nas mężów, którzy minęli się ze swym powołaniem. Widzieli

go jak mijał, krzyczeli doń aby się cofnął, krzyczeli, że idzie we fałszywym kierunku, on nic, jakby nie słyszał, szedł dalej. Pan L. Groszek został dyrektorem teatru. Urodzony manager cyrkowy na największą skalę uwziął się, aby prowadzić teatr dramatyczny. Człowiek stworzony wprost do czerwonego fraka, patonych butów, szykownego bata w ręce — olbrzymiej chryzantemy w butonierce, człowiek, który dopiero na pasku areny cyrkowej czułby się jak na granicie uwziął się, żeby na złość swemu posłannictwu sterować teatrem dramatycznym — i stąd ciągłe nieporozumienia. Pana Groszka energja rozpiera. On się dusi wprost w ramach jednego gmachu, w jednym mieście w jednym środowisku. Natura pcha go do ciągłej zmiany miejsca, każe mu jeździć z miasta do miasta i coraz to indziej rozbijać namioty. Pan Groszek stworzony jest na to, żeby nieprzebranym masom pokazywać wytresowane słonie, wspaniałe pantomimy np. „Noc w Haremie Padyszachraja", papugi gwiżdżące itp. tymczasem musi się zajmować wystawianiem Ibsena, Wyspiańskiego, Rostworowskiego. I stąd ciągłe nieporozumienia. Gdyby p. Groszek poszedł był za głosem swego powołania, dziś byłby znakomitością wszechświatową. W tym człowieku drzemał polski Barnum Bailey. Ten człowiek byłby w kozi róg zapędził wszystkich Salomońskich, Buschów, Ciniselli'ch, Salwarsanich i dziś byłby zarządzał trustem 29 cyrków i 14 Music Hallów na obu półkulach. Ten człowiek miałby dziś pierwszy cyrk przenośny na aeroplanach. Ten człowiek miałby był dziś ordery wszystkich

władców świata i operowałby kapitałem 33 miljonów dolarów. To nazwisko wymawiałoby się jako szóste po Morganach, Astorach, Vanderbildtach, Frickach, Gugenheimach z rozkosznem mlaśnięciem rodak. Naciągałoby się go narodowo że aż miło, a kto tam wie czy jemuby się nie dało w krytycznym momencie jakiejś prezydentury przygodnej.

A tymczasem teraz co? Biedny Fantomas Groszek zbiera tylko podpisy. Ubiera się rano w lakieranse, szwarcuje wąs z bukareszienska i drepcze biedaczyna od hrabiego do księcia, od księcia do prezesa, od prezesa do dyrektora, od dyrektora do redaktora, od redaktora do doktora, od doktora do przeora, od przeora do tenora, od tenora znów do księcia i zbiera podpisy. Podpisali się już książę Janusz i książę Zdzisław, ale pod czem się te plonki Beselera nie podpisywały. Podpisał się Northcliff von de Friese i Myria Noel W. Kossak i Abbe Guinajer. Ale co to wszystko warte na te ciężkie czasy? Najwyżej 100,000 marek, no choćby 1,000,000 marek, no choćby 10,000,000 marek. A tymczasem potrzeba krągło 100,000,000 marek na to wszystko co Zigomar Groszek obiecuje. P. Groszek bowiem chce stawić nowy teatr w Warszawie, właściwie nie teatr, ale kompleks teatrów, dzielnicę teatralną. Panbellerion ma mieścić w sobie jeden teatr operowy na 6000 widzów, jeden teatr dramatyczny na 4000 widzów, salę widowisk ludowych na 8950 widzów, teatr kameralny na 10,000 widzów, halię koncertową na 600 słuchaczów, salę dla rytmicznej gimnastyki, salę dla tańca klasycznego, halię fechtunkową, strzel-

cę dla statystów, *tattersal* dla artystek, szkołę dla malarstwa dekoracyjnego, bursę dla *młodzieży* baletowej atelier kinematograficzne i małe przyboczne konserwatorjum muzyczne obliczone na 1340 najwyżej, jak zastrzega się 1360 uczniów. Panhellerion będzie centralnie ogrzewany w zimie, a centralnie oziębiany w lecie. Wszystko urządzone wedle najnowszych wymagań hygieny pod kierunkiem wynajętego ad hoc całego ministerjum zdrowia. Kapelmistrzami opery zostają P. Mascagni, Tilla Ruffo i Giacomo Torreadore, reżyserami dramatu prof. Reinhardt, Stanisławski, Cyryl Limanowski Danilejewski. Balet prowadzą Pawłowa Karsawina i instruktor cesarskiego baletu w Tokio.

Każdy teatr *rządzi się* autonomicznie i ma do dyspozycji 6 samochodów firmy Forda. W każdej garderobie aktorskiej jest wanna i prysznic. Potomstwo każdego aktora legalne i nielegalne kształcone jest do 21 roku życia na koszt koncernu teatrów Z. Groszka. Aptekę na *miejscu*. Wagony sypialne na kolejach państwowych własne. Karawany gratis i franko. Ubezpieczenia na życie i od wypadków nieszczęśliwych załatwia dyrekcja.

Tak więc *zanim* jeszcze dokonczy się za rogatkami mokotowskimi wielki szpital *dla chorych* na rozmiękczenie mózgu, stanie w naszym mieście dzięki inicjatywie lwowskiego Buffalo-Billa *monumentalny* Panhellerjon. Tylko się prędko podpisujmy! Czas nagli.

PORADNIK DLA REPORTERÓW NA ROK 1920

Ze względu, że raz szczęśliwie rozpoczęte uroczystości galowe ciągnąć się będą przez cały Listopad, Grudzień i Styczeń połączone z obchodami rocznicowymi z wjazdami oraz wyjazdami do różnych miast, miasteczek i osad, podajemy tu dla użytku reporterów opisujących przyszłe festyny skrót z ułatwiającego pracę podręcznika pruskiego (Wegweiser für die Zur-Hoteinfahrtsundausfahrtceremonie - berichtigung abkomandierte Zeitungs-junggesellen. Berlin 1900 Hofbuchhandlung Hatter und Hetter) umożliwiający naszym dziennikarzom, szczególnie fryze-ţerczykom warszawskim szybkie obsługiwanie swego pisma inicjały „n p" używane w podręczniku oznaczają albo Najjaśniejszy Pan (w monarchiach), albo Naczelnik Państwa (w republikach), albo Napoleon Pepesów (w przenośniach)

„Poradnik wjazdowy"

Pytanie Jaki pociąg punktualnie o godzinie . minut — zajechał na stację? Odpowiedź Nadzwyczajny

P Jakim krokiem przeszedł N P do salonu dworskiego? Odp Elastycznym

P Jaka postać zarysowała się u wyjścia z dworca? Odp Rześka

P. Co się posuwało wśród szpalerów wojska, za którymi tłoczyła się publiczność? Odp Wąż samochodów

P Wśród jakich okrzyków bardzo powoli posuwał się barwny pochód? Odp Wśród zlewających się

P Przed frontem czego przeszedł elastycznym krokiem N P? Odp Przed frontem kompanji

P Przed frontem jakiej kompanji ukazała się rześka postać N P? Odp Przed honorowej

P Czem było ubrane bogato miasto, witające entuzjastycznie N P? Odp Flagami

P Zielonymi czymi było ubrane bogato miasto, odświętny widok przedstawiające? Odp. Zielonymi gałązkami

P. W co zaprzężonym powozem jechał N P. wśród zlewających się? Odp W białe konie

P W ile białych koni zaprzężonym powozem jechał N P uprzejmie salutując wśród zlewających się okrzyków? Odp W cztery

P W otoczeniu czego czekał u progów (Ratusza, pałacu) prezydent (burmistrz, wojewoda, starosta) w starodawnym kontuszu (fraku)? Odp. W otoczeniu dygnitarzy

P Jakich dygnitarzy kazał sobie przedstawić N P, by z każdym z nich porozmawiać krótko i uprzejmie? Odp Wojskowych i cywilnych

P Co się zebrało na Rynku w międzyczasie podczas galowej mszy, której N P asystował w skupieniu i powadze? Odp Tłumy nieprzeliczone

P. Co podjęły tłumy nieprzeliczone, zebrane przed kościołem na widok rzeźkiej postaci N. P., wychodzącej *elastycznym* krokiem? Odp. Okrzyk.

P. Jakimi oklaskami powitany był *N. P.* gdy otoczony generalicją i duchownymi udał się do Kasyna Oficerskiego (Głównej Komendy — Pałacu biskupa)? Odp. Tłumy.

P. Jakimi okrzykami witała publiczność N. P., udającego się do Teatru na galowe przedstawienie „*Halki pod Racławicami*"? Odp. Gromkimi.

P. Co wzniosła spontanicznie *wstająca* publiczność na widok rzeźkiej postaci N. P., ukazującej się w loży pierwszego piętra? Odp. Trzykrotny okrzyk.

P. Z ilu piersi rozległ się *trzykrotny okrzyk* na widok N. P., wychodzącego elastycznym *krokiem z rzęsiście* oświeconego Teatru? Odp. **Z tysiąca.**

P. Do czego przeciągnął się wspaniały raut w gościnnych salonach hrabiego (księcia), który zaszczycił *swą obecnością* N. P. wraz z lśniącym orszakiem adjutantów? Odp. *Do późnej nocy.*

P. Z wrodzonem czem rozmawiał N. P. z odświętnie ubranymi damami z najwyższych sfer naszego [społeczeństwa? Odp. Z wrodzoną prostotą.

P. Do czego wreszcie udał się elastycznym *krokiem* N. P. znużony cokolwiek w pałacu hrabiego — (księcia — biskupa —), u *którego zamieszkał*? Odp. Do swoich apartamentów.

P. Jak żegnany na drugi dzień rano opuszczał N. P. *gmach* Uniwersytetu (Muzeum, Straż-

nicy Kurkowej, Szpitala Obłąkanych Gorzelni Spółkowej) odprowadzony aż do powozu zaprzężonego w cztery siwosze, a eskortowanego przez banderje ułanów? Odp Owacyjnie

P Wśród szpaleru czego podczas niemilknących okrzyków nieprzeliczonych tłumów jechał na dworzec kolejowy powóz N P ciągniony przez czwórkę dziarskich siwoszów, a eskortowany przez banderje równie dziarskich włościan? Odp Wśród szpaleru wojska wyciągniętego jak struna

P Jak ubrane dziewice ofiarowały opuszczającemu nasze miasto po zbyt krótkim pobycie ukochanemu przed wszystkie stany N P bukiety świeżego kwiecia? Odp Biało

P W czem ukazał się dziękując tłumnie zebranej publiczności i salutując N P. oparty do stojnie na rękojeści szabli? Odp. W oknie

P W oknie czego? Odp W oknie salonowego wagonu.

P Po dokonaniu czego odjechał N P. żegnany niemilknącymi i gromkimi oklaskami odświętnie ubranego tłumu z najwyższych sfer naszego społeczeństwa? Odp Po dokonaniu zdjęcia fotograficznego

MADAME ATAMANOWA

(WŁASNA KORESPONDENCJA Z KRAKOWA WARSZAWSKIEGO PISMA BRUKOWEGO „KANAŁ PORANNY")

Stosownie do telegraficznego polecenia Redakcji postarałem się o możność osobistego widzenia się z bawiącą w powawelskim grodzie panią atamanową i oto garść szczegółów, jakich mogę wam udzielić. Jej dostojność stanęła w hotelu Berlińskim na Stradomiu wraz ze świtą oraz kilkoma wyższymi oficerami ze sztabu jej znakomitego małżonka. Pani Nasha Petluchowa przybyła do naszego grodu z synkiem Aleksym i córeczką Praksedią. Jest to osoba w kwiecie wieku, dobrej duszy, nadzwyczaj wytwornych manier i jak to dostrzedz mogłem dużej energji i przedsiębiorczości. W świcie jej znajdują się przedewszystkiem pułkownik Ferdynand Otto Müllerenko, dalej ekscelencja Szwiec, były pisarz gminny a obecnie referendarz wielki republiki przeddnieprzańskiej, dalej praporszczyk Dmytro Makuch, przydzielony do ukraińskiej ambasady w Algierze z tytułem radcy IV klasy, oraz Bazyli Batiarow, współredaktor wiedeńskiego pisma „Prapor", niezbyt nam bardzo dla nas życzliwie usposobionego. Ponieważ pani atamanowa cały dzień była zajęta w swoich apartamentach i to jak

mnie lojalnie objaśniono praniem bielizny, której nie wielki zasób udało się wziąć na drogę, przeto informacji udzielił mi łaskawie ekscelencja Szwiec

Pani atamanowa wraz z orszakiem opuściła pospiesznie Kamieniec dnia 2 listopada wieczorem, zaraz po uroczystościach wspaniałych, jakie odbyły się z racji rocznicy zdobycia Lwowa przez wojska zaprzyjaźnionego z Polską przyszłego mocarstwa Uroczystości wypadły podobno imponująco. Na nabożeństwie w cerkwi była jeszcze cała jeneralizacja, korpus dyplomatyczny, cały gabinet ministerjalny, restaurator i właściciel „Hotelu Odeskiego" p Srberlaib i t p Po odśpiewaniu hymnu „Ne chody Hryciu na weczernyciu" odbyła się wspaniała rewja i parada wojskowa, w której wyjątkowo świetnie sprezentował się pułk hajdamaków z Drohobycza w zielonych hajdawerach, maszerujący w takt, z nożami w zębach i w czerwonych butach palonych na lewej nodze pod komendą kontr-admirała Łysoguba Dla uczczenia jeszcze tej rocznicy zgwałcono tegoż dnia resztę żydóweczek, bez względu na wiek i zaludnienie, oraz odcięto ręce siu bachorom żydowskim niosącym w pochodzie żółto-zielone chorągiewki republiki Kamienieckiej O tym ostatnim szczególe uroczystości, nieprzewidzianym w programie oficjalnym doniosą efektowniejsze detale prawdopodobnie te wszystkie organy prasy, które tyle rozpisywały się o odcięciu brody Janowi Kasprowiczowi

Tegoż dnia wieczorem pospiesznie ewakuowano stolicę Kamieniecką Dokąd udał się prezydent republiki Izydor Mazepa, dokąd podsekretarz

stanu Hołupowicz i gdzie obecnie przebywa sam dostojny małżonek ataman Semen Petlucha, wielki ałjant Rzeczypospolitej Polskiej o tem ani ekscelencja Szwiec, ani sama madama Nastia nie wie dokładnie. Jedni twierdzą, że do Czernowiec, inni że do Bender, inni że wprost do Kulparkowa. W każdym razie jak mnie objaśnił eks. Szwiec, generalissimus jest już cokolwiek znużony i zniechęcony ale w każdym razie doskonałej myśli i lada chwila zdobędzie Kijów, Czernichów, Krym, Jassy, Lwów i t. p. Ataman żywi podobno duży żal do Denikina, którego nazywa Prusakiem, twierdząc że właściwe nazwisko jego jest Denikind.

Gdzie udaje się obecnie atamanowa z dziećmi dotychczas jeszcze niewiadomo i nikt ze świty nie umiał mnie objaśnić. Prawdopodobnie albo do Włoch (pod Warszawą) albo Pragi (pod Warszawą), gdyż inne stolice z powodu komplikacji politycznych nie wyraziły życzenia goszczenia dostojnej wygnanki. Z dużą i widoczną niechęcią wyrażał się ekscelencja Szwiec o atamanach Zielenym, Krasnym i Dienszczyku, którym podobno udało się znacznie więcej miast spalić, nieco więcej zrabować i znacznie więcej wywieźć. Pod względem materjalnym jak czcigodna małżonka atamana jak i jej dziatwa są mniej więcej zabezpieczeni. Aczkolwiek szybka zmiana sytuacji i likwidacja rządu kamienieckiego nie pozwoliły Nastji Petluchowej zabrać z sobą nawet kufrów i necesserów podróżnych, to jednakże świta zdołała nadludzkim wysiłkiem ocalić jeszcze 28 worków z karbowańcami przedstawiającymi łączną wartość około dwóch

miljonów koron austrjackich, że zaś korona austrjacka idzie obecnie z godziny na godzinę raptownie w górę, przeto byt rodziny atamana zdaje się być zapewnionym. Nadto w ostatniej chwili zwrócił się do atamana telegraficznie z Nowego Yorku impresarjo Charles Froman z propozycją wygłoszenia odczytów o swych przygodach w 236 miastach Stanach Zjednoczonych, Kalifornji i Kanady, najprawdopodobniej propozycja ta będzie przez atamana przyjęta i należy się spodziewać że może jeszcze w grudniu i j. przed zdobyciem Kijowa, Jass i Lwowa ataman do Ameryki wyjedzie. „Jeżeli łobuza oczywiście nie powieszą na pierwszej lepszej suchej gałęzi" dodaje z typowo dyplomatycznym sceptycznym uśmieszkiem ekscelencja Szwiec.

Oficerowie sztabowi i panowie ze świty ubrani są w orginalne i bardzo kolorystyczne mundury nowego mocarstwa czarnomorskiego, na głowach noszą duże papachy futrzane albo też czaka cokolwiek bardzo zbliżone do austrjackich, na sobie mają zielone czerkieski i ogromne czerwone baszłyki. Aczkolwiek bardzo dystyngowani, dystynkcji oficerskich nie noszą, demokratyczność nowego imperjum zaznaczają już w wzajemnej instancji oraz w swobodnych epitetach jakie sobą wzajem nadają. Kurjer dyplomatyczny przydzielony do boku pani atamanowej wyjątkowo uprzejmy pan Bezpałko Hrehory, gra wprost wirtuozowsko na bandurze i przez cały czas mojego interwiewu z ekscelencją Szwiecem przygrywał nam melancholijne dumki i szumki siedząc bezpretensjonalnie na ziemi z nogami podwiniętymi pod siebie jak obyczaj

narodowy każe Sam zaś referendarz tajny radca Sawiec ma zwyczaj również czysto i typowa ukraiński ustawicznego przegryzania ziarnek od słoneczników i wypluwania łupinek przedsię czasem o dwa metry.

W tych dniach ma się ukazać uroczysta biamota atamana do rządu Rzeczypospolitej Polskiej, zredagowana podobno w nadzwyczaj ciepłym tonie

O dalszych planach pani atamanowej doniosę w następnym liście

P S Dziś wieczorem w „Hotelu Berlińskim" dokonano niesłychanie zuchwałej kradzieży z włamaniem Poszkodowanym jest kupiec Aron Raciążker, któremu skradziono podręczny kuferek. W kuferku tym było 2 800 rubli srebrnych, 20 000 kierenek dumskich, 30,000 marek pruskich w złocie oraz brylanty wyjęte z pierścionków wartości około ćwierć miljona Istnieją podejrzenia, że Raciążkier pieniądze te miał wywieźć szmuglem do Niemiec Raciążkiera aresztowano Również aresztowano z tajemnych powodów jednego z najwpływowszych dyplomatów Rzeczypospolitej Hajdamackiej